Seria II. № 36

Bibljoteka Krytyk Literackich

ELIZA ORZESZKOWA

NAD NIEMNEM

(KOMENTARZ)

Geneza, charakterystyka osób, dokładna treść.

Opracował

Prof. Dr. Zbigniew Zaturski.

Wydanie III

WYDAWNICTWO „VITA" LWÓW

Wydawnictwo „VITA“

LWÓW, PL. MARIACKI 8.

Konto P. K. 0 111.099.

SERJA I. ORYGINAŁY Z KOMENTARZAMI.

1	Brodziński K.: Wiesław	B. Janusz	0.30
42—3	Fredro A.: Śluby panieńskie	Z. Zaturski	0.80
11—12	— Zemsta	Z. Zaturski	0.75
36—7	Goszczyński S.: Zamek Kaniowski	B. Janusz	0.80
7	Kochanowski J.: Odprawa posłów greckich	A. Szulima	0.30
2	— Treny	B Janusz	0.30
38	Krasiński Z.: Irydjon	A. Sulima	1.—
3—4	— Nieboska komedja	A. Sulima	0.70
31—2	— Przedświt	Z. Pogonowski	0.60
17—18	Malczewski A.: Maria	A. Sulima	0.60
21—3	Mickiewicz A.: Ballady i romanse	Z. Zaturski	0.75
25—6	— Dziady I. II. i IV.	Z. Zaturski	1.—
40—1	— Dziady III.	A. Sulima	1.—
13—14	— Grażyna	J. Stur	0.45
19—20	— Konrad Wallenrod	A. Stodor	0.60
48—52	— Pan Tadeusz	K. Borkiewicz	1.60
35	— Sonety	B. Janusz	0.45
15—16	Niemcewicz J.: Powrót posła	Z. Zaturski	0.75
9—10	Słowacki J.: Anhelli	Z. Zaturski	0.45
45—6	— Balladyna	T. Nittman	1.—
47	— Godzina myśli	Z. Zaturski	0.30
39	— Hugo—Mnich—Arab	B Janusz	0.45
8	— Jan Bielecki	H Biegeleisen	0.45
33—4	— Kordjan	A. Sulima	0.60
5—6	— Lilla Weneda	Z. Zaturski	0.90
24	— Ojciec Zadżumionych	Z. Zaturski	0.45
29—30	Szekspir W.: Makbet	Z. Zaturski	0.80
27—8	Zabłocki F.: Fircyk w zalotach	Z. Zaturski	0.70

SERJA II. STRESZCZENIA I KOMENTARZE.

66	Brodziński K.: O klasyczności i romantyczności	L. Sternklar	0.30
44	Feliński A.: Barbara Radziwiłłówna	Z. Zaturski	0.30

ELIZA ORZESZKOWA

NAD NIEMNEM

(KOMENTARZ)

OPRACOWAŁ
PROF. ZBIGNIEW ZATURSKI

WYDANIE III.

Wydawnictwo „VITA“
LWÓW
Główny skład w księgarniach:
A. Bardacha, Krakowska 1. | Dra M. Bodeka, Batorego 12

Drukarnia Nakładowa, Lwów, Koralnicka 4.

Rzut oka na życie i twórczość Elizy Orzeszkowej.

Eliza Orzeszkowa urodziła się w maju r. 1842 w Mintowszczyźnie, pod Grodnem. Rodzice, majętni właściciele owej wsi, byli ludźmi wysokiej kultury umysłowej. Ojciec, który zresztą wcześnie odumarł, należał umysłowo jeszcze do wieku XVIII, był wolterianinem i wolnomularzem. Bardzo staranną pierwszą edukację odebrała w domu rodzicielskim, po czym do piętnastego roku życia wychowywała się u SS. Sakramentek w Warszawie. Nie mając 16 lat, wyszła za mąż, ale małżeństwo to konwencjonalne długo nie trwało. Pierwszy jej mąż brał udział w powstaniu 63. r., po czym został wywieziony na Sybir, gdzie umarł. Po śmierci pierwszego męża, autorka „Nad Niemnem" osiadła w Grodnie, żywo interesując się życiem społecznym. Po raz drugi wyszła za mąż za adwokata. Grodno było jej stałą siedzibą do zgonu (1910 r.), rzadko tylko dla poratowania zdrowia wyjeżdżała za granicę. W r. 1880 podjęła w Wilnie wydawnictwo dzieł poważnych, które rząd carski jednak prędko stłumił. Oddana odtąd pod nadzór władz, żyła dla literatury, otaczała opieką cierpiących (pomoc dla pogorzelców po ogromnym pożarze Grodna w r.

1884), badała przyrodę nadniemieńską, której była nietylko miłośniczką, lecz i doskonałą znawczynią. Krajobrazy z „Nad Niemnem“, obrazy ze świata roślinnego w „Weselu Wiesiołka“ są pełne najżywszego uczucia i wdzięku pieśni natury. W r. 1867, uczcili postępowi pisarze polscy działalność autorską Orzeszkowej, wydając na jej cześć księgę pamiątkową. Działalność ta datuje się od r. 1867, w którym Orzeszkowa w „Tygodniku ilustrowanym“ wydrukowała „Obrazek z lat głodowych“. Odtąd wydała przeszło 60 tomów powieści, studiów i broszur. W Warszawie pojawiły się dwa ich wybory: jedne u S. Lewentala obejmujący następujące utwory: „Ostatnia miłość“, „Z życia realisty“, „W klatce“„ Na prowincji‘: Pamiętniki Wacławy“, Pan Graba“, „Cnotliwi‘, „Wesoła teoria i smutna praktyka“, „Na dnie sumienia“, „Marta“, „Eli Makower“, „Rodzina Brochwiczów“, „Pompalińscy“, „Maria“, Meir Ezofowicz‘:, „Sylwek Cmentarnik“, „Zygmunt Ławicz“, „Z różnych sfer“ (nowele i obrazki, 4 t.), „Niziny“, „Dziurdziowie“ „Drobiazgi“, „O kobiecie‘, „Kilka słów o kobietach“, „Patriotyzm i kosmopolityzm“, „Cham“. Są to główne dzieła, pisane do r. 1889; dodać do nich wypada:„Widma“, (1889), „Mirtala“ (1886), „Czciciel potęgi“ (1891), „Nad Niemnem“ (1888), „Jędza“ (1891), „Bene Nati“ (1892), „Dwa bieguny“ (1893), „Australczyk“ (1895), „Pieśń przerwana“ (1896), zbiory nowel: „Melancholicy“ (1896), „Iskry“ (1898), „Chwile“ (1899), „Argonauci“ (powieść) (1900), „Przędze“ (1903), „Anastazja“ (1903). Z rozpraw należy jeszcze zanotować: „O żydach i kwestii żydowskiej“ (1882), „List o Polsce do kobiet niemieckich i francuskich“

(1890), „Studium o Renanie“ (w Ateneum 1886). Wybór najwybitniejszych utworów wyszedł w 4 tomach w tanim wydaniu Wawelberga. W r. 1904 wyszedł „Dwugłos“ napisany wespół z Jul. Romskim p. t. „Ad Astra“.

Geneza i znaczenie „Nad Niemnem“.

„Nad Niemnem“ napisała Orzeszkowa w r. 1886. Możemy je uważać za nowoczesne epos, pisane prozą, odtwarzające nam Litwę w ostatniej ćwierci XIX. stulecia tak, jak „Pan Tadeusz“ w pierwszej ćwierci tegoż wieku. W żadnej powieści Orzeszkowej nie czujemy tak wyraźnie zapachu pól i zbóż, jak w „Nad Niemnem“. Jest to bezsprzecznie jedna z najpiękniejszych książek polskich. Mamy tu wspaniale odmalowaną naturę i ludzi, mamy prześliczne krajobrazy, opisy borów, łąk, pól, rzek, zachodów i wschodów słońca. Na tym tle odtworzyła autorka całe ówczesne społeczeństwo polskie. Wyrazem ideału jest w tej powieści młody, uczuciowy student, pełen najszlachetniejszych zapałów, romantyk w teorii i w czynie, który staje się nauczycielem przedstawicieli pokolenia starszego, dojrzałego, trzymającego się przyziemnego hasła „pracy organicznej“. Ojciec jego, Benedykt Korczyński, lat dwadzieścia z górą temu przeżył także młodość „górną i chmurną“ lecz gdy klęska narodowa pochyliła mu grzbiet, włosy przyprószyła siwizną, a brat zginął w powstaniu, wówczas zrezygnowany, zgorzkniały, przemienił się w zwyczajnego „zjadacza chleba“, w groszoroba, z trudem dzierżącego nadszarpnięty majątek w garści. „Długo we środku mu coś płakało“, nareszcie po-

została tylko bolesna gorycz w duszy, niechęć głucha do wszelkiej ideologii, oraz ciężki trud niezasobnego, a żyjącego na pańskiej stopie szlachcica. Ale pan Benedykt, mimo swej rezygnacji, mimo wszystkich wad, jest jeszcze najlepszy z całego szeregu przedstawicieli szlachty litewskiej. Inni natomiast pędzą życie pasożytów, pieczeniarzy, zblazowanych artystów, kobiety zaś — to przeważnie puste, bezmyślne lalki, goniące za błyskotkami życia. To jeden świat, a obok żyje drugi. To zaścianek Bohaterowiczów. Ci żelaźni ludzie, prawdziwie wytrwałą, niezmordowaną pracą przemienili ongi las dziewiczy w kraj mlekiem i miodem płynący, zachowali nadmiar sił i wielkość uczucia, które nie wpadając w czczy sentymentalizm salonów, umie jednak dochować wierność grobom. Nędza i ciemnota paczy jednak ich charakter, zachwaszcza go pieniactwem, umysł zaś zaciemnia zabobonami. W czaasie powstania, gdy w sercu wrzało, gdy najwznioślejsze hasła narodowe i ogólnoludzkie, hasła miłości i braterstwa wszystkich zbliżały ludzi, dwór Korczyńskich szedł w bój pod wspólnym sztandarem z ubogim zaściankiem. Ale ten czas minął bezpowrotnie. Gdy chwilowe uniesienie znikło, a twarda rzeczywistość zajrzała w oczy, dwór i zaścianek stanęły naprzeciw siebie jako dwaj nieubłagani wrogowie. Nad całą tą powieścią, pisaną w r. 1886 wśród najtrudniejszych warunków cenzury, unosi krwawe widmo r. 1863, z za borów i rozłogów widnieje posępna mogiła, „Powracająca fala“ odzywa się w młodym Witołdzie, który nie szczędzi gorżkich, pełnych świętego oburzenia oskarzeń ojcu, przedstawicielowi pokolenia wierzącego li tylko w hasło „pracy organicznej“. Upadłym

na duchu, wyczerpanym, zobojętniałym przedstawicielom klas wyższych przeciwstawia Orzeszkowa energię, pełną życia wychowańca zaścianka szlacheckiego, młodego Janka Bohatyrowicza. Ten ubogi proletariusz szlachecki, nawpół chłop, łączy się węzłem dozgonnym z panną z bogatego dworu Korczyńskich. Małżeństwo to ma niewątpliwie znaczenie głębsze, symboliczne. Wypowiedziało się w nim credo Orzeszkowej. Autorka widzi jasną przyszłość swej ukocманej ojczyzny w łączeniu się warstw wyższych z niższymi, szlachty z ludem, we wspólnej, zgodnej pracy wszystkich dla dobra ogółu, we wspólnej dążności dla celów wzniosłych.

„Orzeszkowej przypada niewątpliwie jedna wielka zasługa — pisze St. Brzowski. — W powieściach jej sumienie narodu jest nieustannie obecnie. Uczyniła ona z niego towarzysza wszystkich tych chwil, które spędzamy z jej książkami. Stworzyła dla społeczeństwa naszego środowiska moralnej mocy. Cała ziemia nasza zorana, szumiąca kłosami ziemia polska, ziemia zapomnianych wśród lasów i pól, wroga ręką sypanych mogił — szepce w książkach tej wielkiej poetki sumienia. Niemen srebrzy się, szumi i pyta. Czegoś czeka, coś obiecuje. Nie dziwmy się nieufności względem słów, uniesień, ziemia nie rychło się przekonywa. Dopiero, gdy kłosem wystrzeli, wie, jakie w nią rzucono ziarno. Czuje się u Orzeszkowej, jak gdyby wielki głód ziemi, tęskniącej za posiewem złotych ziarn pszenicznych, smutek opuszczonych, zaniedbanych zagonów. Wszystkie najlepsze jej dzieła napisane zostały pod wpływem wiary w wielki zakon pracy. Gdyby Orzeszkowej nie było w naszym piśmiennictwie, w naszym życiu spełnionoby

mniej tych uczynków, którymi żyje społeczeństwo. Powieści Orzeszkowej były szkołą charakterów. Liczymy się ze środowiskiem społecznym takim, jaki znamy. Orzeeszkowa wprowadza nas w świat silnych charakterów, czujnych sumień, w świat pracowników. Praca jest źródłem piękna u Orzeszkowej. Kocha ona zgrubiałe ręce i spalone przez słońce twarze. Kocha siłę dźwigających brzemię ramion. Znajdujemy u niej klasyczny opis prac polnych. Opisy nie widziane, lecz odczute. Orzeszkowa wżywa się w wieś od wnętrza. Kocha ona jej świat moralny. Kocha jej pracę i odpoczynek po niej. To też posiada zmysł istotny dla zagadnień świata moralnego tych ludzi, to też umiała napisać „Chama", tę książkę tak piękną, jakby z żywota świętych wyjętą była. Niepodobna położyć zbyt wielkiego nacisku na tą przynależność moralną Orzeszkowej do świata, w którym pisze. Jej powieści, to nie literatura „osobista", to uświadomienie wartości moralnych, jakimi żyją całe warstwy narodu. Gdy tylko Orzeszkowa ma do czynienia z zagadnieniami wyrastającymi bezpośrednio z jej właściwego świata, czuje się w jej słowach powagę pojęć i uczuć wypracowanych moralną, zbiorową pracą pokoleń. Autorka „Nad Niemnem" rozwijała się nieustannie i przekształcała artystycznie. W swoich najlepszych dziełach jest ona głosicielką prawd moralnych, zdobytych przez cały naród, żyjący w twardym zakonie pracy, na tej tak dziwnie poważnej ziemi litewskiej. Po raz drugi w ciągu wieku XIX-go z Litwy przychodzi do nas głos idealizmu czynnego, głos sumienia i pracy. Wieś litewska mówi do nas po przez pisma tej „młodszej siostry Mickiewicza".

Charakterystyka głównych postaci.

J a n B o h a t y r o w i c z — to mężczyzna trzydziestoletni, wysoki, zgrabny i przystojny. Twarda praca około zdobywania plonów ziemi dała mu siłę oraz harmonję fizyczną i moralną. Ojciec jego, Jerzy Bohatyrowicz, zginął w powstaniu 1863 roku i został pochowany we wspólnej mogile bohaterów za Niemnem. Odtąd Janek wychowywał się u swego stryja Anzelma i wraz z nim prowadził swe dziedziczne gospodarstwo. Ponieważ był mężczyzną przystojnym i miłym, odznaczającym się wielu zaletami duchowymi i fizycznymi, przeto łakomym okiem spoglądała nań Domuntówna, najbogatsza „aktorka" w zaścianku, jemu jednak wpadła w oko Justyna, piękna panna z dworu Korczyńskich. Miłość jego była początkowo nieśmiała i zupełnie beznadziejna. Nie śmiał marzyć,by kiedykolwiek ta dumna i urodziwa panna zgodziła się zostać jego żoną. Lecz najtajniejsze jego pragnienia niespodzianie się urzeczywistniły. Panna Justyna poznawszy go bliżej, pokochała go serdecznie i oddała mu swą rękę. Poszła za nim jak Cecylia, owa panna wysokiego rodu, która przed wiekami poszła w głębokie lasy z prostym chłopem, protoplastą rodu Bohatyrowiczów, bo czuła, że on tylko jeden może jej doć prawdziwe szczęście.

J u s t y n a O r z e l s k a, panna piękna, dwudziestoletnia, odznacza się niezwykłą zacnością i przedwczesną powagą, która płynie stąd, że Justyna mimo młodych lat przecierpiała bardzo wiele. W 14. roku życia straciła matkę. Ojciec jej, człowiek lekkomyślny, stracił cały majątek i musiał wraz z córką szukać przytułku u pana Benedykta

Korczyńskiego. Wychowaniem Justyny zajęła się głównie bratowa p. Benedykta, wdowa po jego bracie Andrzeju. W Osowcach pięknym majątku pani Andrzejowej, młoda panienka poznała syna swej opiekunki, Zygmunta, rokującego piękne nadzieje malarza. Młodzi przylgnęli do siebie sercem i pragnęli się pobrać, lecz pani Andrzejowa ani słyszeć o tym nie chciała. Zygmunta niebawem wysłano za granicą, skąd wrócił żonaty. Miłość dla Zygmunta stała się dla Justyny cichą tragedią, która rzuciła na zawsze cień smętku i powagi na jej urodziwą twarz. Nie wzruszyły jej niewczesne umizgi p. Różyca, zblazowanego i morfinizującego się arystokraty. Szczęśliwą zmianę w jej smutnym życiu wywołała znajomość z Janem Bohatyrowiczem. Poznawszy jego niezwykłe zalety, bez wahania oddaje mu swą rękę. Pod jego wpływem budzi się w jej sercu miłość ludu i kraju ojczystego. Pragnie nieść światło wiedzy pod strzechy wieśniacze. Twardej pracy na roli się nie lęka, owszem, ta praca jest dla niej warunkiem trwałego szczęścia i zadowolenia.

B e n e d y k t K o r c z y ń s k i, zamożny ziemianin, mający wykształcenie uniwersyteckie, za młodu był zapalonym demokratą, który bratał się z ludem. Brał udział w powstaniu, ale wyszedł z klęski złamany, zgorżkniały, zniechęcony zupełnie do pracy ideowej. Staje się hreczkosiejem i zwyczajnym groszorobem, który myśli jedynie tylko o utrzymaniu w swym ręku rodzinnego Korczyna. Warunki finansowe, w których pracuje, są bardzo ciężkie i niepomyślne, więc cały wysiłek Benedykta idzie w kierunku zdobycia jak największych sum, byle tylko zapewnić rodzinie możliwie wygod-

ne warunki bytu. Dawniej bratał się ze szaraczkową szlachtą Bohatyrowiczów, teraz zaś procesuje się z nimi i toczy zażartą walkę o egzystencję. Dopiero dorastającemu synowi pana Benedykta, szlachetnemu entuzjaście i demokracie, który jest uosobieniem „powracającej“ fali idealnych dążeń i porywów, udaje się ojca pogodzić z Bohatyrowiczami. Odtąd też zaczyna się jaśniejsza epoka w życiu pana Benedykta, bo oparta na współpracy z ludem.

Treść „Nad Niemnem“.

T O M I.

ROZDZIAŁ I.

Dzień był letni i świąteczny. Wszystko na świecie kwitło, jaśniało, śpiewało. Ciepło i radość lały się z błękitnego nieba i złotego słońca, radość i upojenie tryskały z nad pól, porosłych zielonym zbożem; radość i złota swoboda śpiewały chórem ptaków i owadów nad równiną w gorącym powietrzu, nad niewielkimi wzgórzami, w obrywających je bukietach iglastych i liściastych drzew. Ludność Korczyna oraz innych okolicznych wiosek wracała tłumnie drogami i miedzami z kościoła do swych sadyb. Zdala od gromad wieśniaczych ukazały się dwie kobiety. Szły one z tej samej strony, z której wracali inni, ale zboczyły snać z prostej drogi i chwilę jakąś przebyły w jednym z rosnących na wzgórzach borków. Było to przyczyną ich spóźnienia się, tym więcej, że jedna z nich niosła ogromną wiąź leśnych roślin, które dość długo zapewne zrywała. Druga kobieta, zamiast kwiatów, trzymała w ręku niepospolitej wielkości chustkę, która za każdym jej szerokim i zamaszystym krokiem, ko-

łysząc się razem z długim ramieniem, powiewała, jak sporej wielkości chorągiew. Zdala to tylko widać było, że jedna z tych kobiet miała w ręku pęk roślin, a druga szmatę białego płótna; zbliska uderzały one niezupełnie pospolitą powierzchownością. Kobieta z chustką była niezwykle wysoka. Wysokość tę zwiększała jeszcze chudość jej ciała; mimo chudości ramiona jej były szerokie i wydawały się bardzo silne. Tylko małe przygarbienie pleców i karku objawia trochę znużenia i starości. Oprócz mantyli, zaopatrzonej w kołnierz płócienny, miała ona na sobie czarną spódnicę, spod której prawie do kostek, widać było dwie duże i płaskie stopy, ubrane w grube pończochy i wielkie kwieciste pantofle. Ubiór ten uzupełniał stary kapelusz słomiany, którego szerokie brzegi ocieniały twarz, na pierwszy rzut oka starą, brzydką i przykrą, ale po bliższym przyjrzeniu się mogącą budzić uwagę i ciekawość. Była to twarz mała, chuda, okrągła, ze skórą tak ciemną, że prawie bronzową, z czołem sfałdowanym w kilka grubych zmarszczek, z wpadłymi i kościstymi policzkami, z wyrazem goryczy i złośliwości, nadawanym jej przez ostrość nosa i zaciśnięcie warg, a potęgowanym przez szczególną ognistość i przenikliwość oczu. Te oczy zdawały się być jedynym bogactwem tej biednej, zestarzałej, złośliwej twarzy. Może kiedyś były one jedyną jej pięknością, a teraz, wielkie i czarne spod czarnych, szerokich brwi oświecały ją jeszcze przejmującym blaskiem; miały one spojrzenie przenikliwe, ostre i płomienność nieustanną, jakby wciąż z wnętrza podsycaną, a dziwną przy tej sczerniałej, w dłoni czasu czy losu, zniecionej twarzy. Szła szerokim, nym krokiem.

Kobietę z kwiatami trudno byłoby nazwać odrazu panną z wyższego towarzystwa, albo też dziewczyą z niższych warstw wiejskiej ludności. Wyglądała trochę na jedno i drugie. Wysoka, choć znacznie od towarzyszki niższa, ubrana była w czarną wełnianą suknię, bardzo skromną, która jednak, wybornie uwydatniając jej kształtną kibić, zdradzała znajomość żurnalu mód i rękę biegłego krawca. Ruchy jej i gesty sprzeczały się z całością jej osoby. Widać w nich było trochę popędliwości i jakby przybranej rubaszności. Nie miała przy tym na sobie ani kapelusza ani rękawiczek. Głowę swą, owiniętą czarnymi jak heban warkoczem, i twarz śniadą, z purpurowymi usty i wielkimi szarymi oczyma, śmiało wystawiała na upalne gorąco słońca. Płócienną tanią parasolkę opierała o ramię, a ręce jej, dość duże i opalone, świadczyły o nader rzadkim używaniu rękawiczek. Wszystko uderzało tym więcej, że sposób, w jaki trzymała odsłonioną głowę i ciemne brwi nad siwymi oczyma, nadawał jej wyraz śmiałości i dumy. Wogóle ta panna, czy ta dziewczyna, na lat dwadzieścia parę wyglądająca, wydawała się uosobieniem piękności kobiecej, zdrowej i silnej, lecz trochę dumnej i chmurnej. Pogody, jaką nadaje ludzkim twarzom szczęście lub rezygnacja, w tej młodej i świeżej, ale niespokojnej i zamyślonej twarzy nie było, jakkolwiek rozjaśniało jej twarz zupełnie fizyczne ożywienie. Prędko idąc, aby szerokim krokom towarzyszki nadążyć, z zajęciem, prawie z miłością, przyglądała się uzbieranej przed chwilą wiązi roślin. Były tam bujne dzwonki lipowe, gwoździki leśne, pachnące smółki, liście młodych paproci, młodziutkimi szyszkami okryte gałązki sośniny,

Wszystko to rzucało jej w twarz falę dzikiej i przenikliwej woni, którą też ona co pewien czas wciągała pełnym i długim oddechem. Rozkosz, którą odczuwała wtedy, tudzież upał słońca, w którym nurzała głowę, rumieńcem powlekły śniade jej policzki. Starszą kobietą, liczącą lat 49, była Marta Korczyńska, młodą zaś Justyna Orzelska. Z rozmowy ich dowiadujemy się, że pana Justyna doznała już goryczy życiowej, gdyż nie pozwolono jej po ślubie Zygmunta, którego bardzo kochała. Rozmowę ich urywa zrazu daleki, a potem coraz bliższy turkot wozu. Siedziały w nim dziewczęta wiejskie, a końmi kierował Janek Bohatyrowicz, mieszkający w zaścianku. Był to mężczyzna trzydziestoletni, wysoki i tak zgrabny, jakby go natura z lubością i wielkim staraniem na łonie swym wypiastowała. Tymczasem nie co innego, jak ciężka praca około zdobywania jej darów, nadały temu ciału taką harmonię i siłę, że trzęsący się i podskakujący wóz nie mógł zmącić ani na chwilę jego prostych i wyniosłych linij. Od ogorzałej cery jego twarzy silnie odbijały złociste, bujne wąsy i jasnozłote włosy, opadające z pod czapki na kołnierz szarej, krótkiej siermiężki, ku ozdobie zapewne zieloną taśmą obszytej. Gdy wóz zrównał się z dwiema kobietami, Janek Bohatyrowicz zdjął czapkę i spojrzenie jego spoczęło na Justynie. W tym szybkim spojrzeniu dostrzec można było, że oczy woźnicy błękitne były, jak turkusy i że w tej chwili przeleciała w nich błyskawica. Ale wnet włożył na głowę czapkę, teraz znowu ku drodze zwrócił i, poruszywszy lejcami, zawołał na konie, aby szły prędzej. Ojciec Janka Bohatyrowicza i jego stryj Anzelm niegdyś często

bywali w korczyńskim dworze; teraz jednak panował rozdział między dworem a zaściankową szlachtą. Zamieniwszy kilka słów z jadącymi dziewczętami, nasze znajome podążyły w dalszą drogę, a wóz zniknął w oddali w tumanach pyłu, tylko słychać było smętną piosenkę wiejską: „Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą, a ja doliną...“

ROZDZIAŁ II.

Dwór w Korczynie, chociaż podupadający, nosił jeszcze ślady dawnej zamożności. W dusznym pokoju pani domu, Emilii Korczyńskej, znajdowali się goście: pan Bolesław Kirło i Teofil Różyc. Pierwszy z nich starał się rozweselić panią Emilię, kobietę chorowitą i bardzo zdenerwowaną - opowiadaniem o spotkaniu panny Justyny i Marty na drodze z kościoła. Tym czasem do komnaty wszedł pan Benedykt Korczyński, gospodarz domu. Wracał właśnie z oględzin swego dobytku. Oboje gospodarze oczekiwali przyjazdu dwojga dzieci, syna i córki, ze szkół na wakacje. Kirło tym czasem, widząc, że pani Emilii sę nudzi, sprowadził ojca panny Justyny, zdziecinniałego starca, który pięknie grał na skrzypcach. Chciał zeń uczynić pośmiewisko w towarzystwie, byle tylko zapobiec migrenie pani Emilii. Tej przykrej igraszce zapobiegła jednak panna Justyna, która podsunęła p. Kirle do zabawy psa, ojca zaś wzięła pod ramię i zaprowadziła go do jego pokoiku do obiadu. Nagle rozległ się turkot kół. Przed ganek zajechał czterokonny powóz, wiozący z niecierpliwością oczekiwane dzieci, które rodzice z miłością i radością przycisnęli do serca.

ROZDZIAŁ III.

Ojciec Benedykta Korczyńskiego, Stanisław, syn legionisty napoleońskiego, był wychowankiem akademii wileńskiej, należał do niewielkiej garstki ziemian, posiadających wyższe studia naukowe. O dziedziczną swą posiadłość, Korczyn, Stanisław Korczyński dbał niezmiernie, a dzięki swej wielkiej pracowitości i oszczędności potrafił ją nawet rozszerzyć przez nabycie pobliskiego folwarku. Synów miał trzech: Andrzeja, Dominika i Benedykta, nadto córkę. Wykształcił ich w szkołach wyższych, przeznaczając Benendykta na dziedzica Korczyna, Andrzejowi zaś oddał folwark. Benedykt miał spłacić brata Dominika i siostrę. Ta spłata, na którą zaciągnął dług hipoteczny, spowodowała, że jego stan majątkowy był bardzo ciężki, nawet groźny. Gdy wybuchło powstanie w 1863 roku, 3 bracia zbliżyli się do pogardzonej przez nich dotychczas okolicznej szlachty zaściankowej, a zwłaszcza do Bohatyrowiczów, którzy stanęli ochotnie do walki z mskiewskim najeźdźcą. W czasie walk powstańczych najstarszy z braci, Andrzej, poległ w pobliskich lasach zaniemeńskich, najmłodszy, Dominik, wyemigrował i osiadł w głębi Rosji, a tylko panu Benedyktowi udało się jakoś w Korczynie pozostać. Będąc człowiekiem światłym i postępowym, starał się o rozszerzenie oświaty w swych wioskach, musiał jednak dać pokój tym usiłowaniom, gdyż rząd rosyjski wytoczył mu proces z tej przyczyny. Z biegiem czasu ożenił się z kobietą kochaną, nie był jednak z nią szczęśliwy gdyż pani Emilia nie była zdolna do zrozumienia go ani nie chciała dzielić jego kłopotów gospodar-

skich. Pod wpływem ciężkich przejść, pan Benedykt zerwał zupełnie z ideałami i świetlanymi złudzeniami młodości, a wszystkie jego wysiłki poszły w kierunku utrzymania się przy Korczynie. Walka to była ciężka, gdyż trzeba było ciągle się procesować z miejscowymi chłopami, którzy wyrządzali raz wraz szkody gospodarskie, palili zboże, wyrąbywali las i t. d. Równocześnie trzeba było myśleć o zdobywaniu pieniędzy na uiszczenie rat bankowych za zaciągnięty dług na spłacenie brata Dominika, jakoteż na procenta dla siostry z zahipotekowanego na majątku korczyńskim jej posagu. Z tych wszystkich przyczyn pan Benedykt uginał się pod brzemieniem obowiązków. Mimo to odpowiedział odmownie na list brata Dominika, który mu radził, by Korczyn sprzedał i z resztą gotówki objął zarząd dużego majątku na dobrych warunkach gdzieś w głębi Rosji, gdzie sam bawił. Przywiązanie do ziemi ojców wzięło górę w panu Benedykcie nad ponętną propozycją.

ROZDZIAŁ IV.

Ustawiczne kłopoty i zajęcia pana Benedykta z jednej strony, a z drugiej słabe zdrowie pani Emilii i sposób życia, jaki wiodła od lat wielu, nie dozwoliły na utrzymanie szerokich stosunków towarzyskich. Obje też, choć dla przyczyn różnych, nie pragnęli ich wcale. On unikał wydatków i przeszkód w pracach gospodarskich, ona lękała się ruchu, gwaru i wszelkiej fatygi, jednak zupełnie odosobnionymi z pośród ludzi być nie mogli. Dawne stosunki sprowadzały im niekiedy odwiedziny krewnych i sąsiadów. Raz w rok, na imieniny pani domu, przypadające w ostatnim dniu czerwca,

zjeżdżała się do Korczyna znaczna liczba gości. Był to zwyczaj przyjęty od tak dawna, że zmienić go było niepodobna bez uchybienia najprostszej przyzwoitości i narażenia się na niechęć wielu osób. We wielkiej sali jadalnej około czterdzieści osób wstawało od stołu, pokrytego staroświeckimi naczyniami z porcelany, kryształu i ciężkim, również staroświeckim srebrem. Światło słoneczne, łagodne przez zapuszczone u okien story, nadawało tej zastawie barwne połyski. Jak w całym dworze, tak i tutaj, widać było ślady dostatków tego domu. Gospodyni domu, cała błyszcząca od dżetowych ozdób, które ją okrywały, dała znak wstania od stołu. Powolnym ruchem podniosła się wdowa po Andrzeju Korczyńskim, kobieta na swój wiek jeszcze zadziwiająco piękna. Matka trzydziestoletniego syna, mogłaby prawie podbijać serca ludzkie, ale jak ogólnie w tej okolicy wiedziano, wszelka zalotność była jej zawsze i zupełnie obcą. Od owej, przed 24-ma laty straszliwej chwili (r. 1863), w której dowiedziała się że jest wdową, nie zdjęła ze siebie ani razu sukien żałobnych i w posagowym swoim majątku, wyłącznie oddana wychowaniu i pieszczeniu jedynaka żyła jak zakonnica, unikając, świata. Przebywa tu teraz, z synem Zygmuntem posiadającym dość znaczne zdolności malarskie, oraz z młodziutką jego małżonką, Klotyldą. Dalej spotykamy tu siostrę Jana Benedykta, Jadwigę Darzecką i jej męża, bogatego obywatela Różyca, wesołego jak zwykle Kirłę, oraz wiele osób z okolicznej szlachty. Pani Emilia czuje się dziś zdrowszą, zdaje się nawet, że zapomniała o swych chorobach. Z rozmów toczących się dowiadujemy się że pan Benedykt Korczyński już od dłuższego cza-

su wplątany jest w proces z drobną szlachtą o wygon. Wygrał już raz, ale przeciwnicy podali do apelacji. Wygon jest jego własnością, lecz szlachta rości sobie do niego pretensje i kosztuje go wiele pieniędzy i zgryzot. Po obiedzie goście wraz ze solenizantką, panią Emilią przechodzą do salonu, gdzie stary Orzelski przy akompaniamencie swej córki, gra na skrzypcach. Przecudny koncert zdziecinniałego i niedołężnego zazwyczaj artysty wywołuje zachwyt i szczere uznanie gości. Po koncercie panie w towarzystwie młodzieży udają się na przechadzkę do ogrodu, starsi zaś panowie zasiadają do kart. Tymczasem Zygmunt Korczyński, korzystając z ogólnego chaosu, zbliżył się do Justyny Orzelskiej i przypomniał jej w tkliwych słowach dawną miłość, próbując na nowo rozpalić w jej sercu wystygłe uczucie. Ona jednak pamiętając żywo upokorzenie, jakiego doznała od matki i ciotki Zygmunta, gdyż ten przed kilku laty chciał się z nią żenić, dała mu to do zrozumienia, że go raz na zawsze wykreśliła ze swego serca i że na nic nie może już liczyć. Zabawką jego teraz absolutnie nie będzie. Po tej rozmowie Justyna opuściła towarzystwo i udała się do Marty, ofiarując jej pomoc w pracy. Lecz gdy ta opryskliwie przyjęła jej dobre chęci, młoda panna wybiegła z dworu w pola ze sercem przepełnionym melancholią i przygnębieniem.

ROZDZIAŁ V.

Justyna znalazła się na ścieżce, kręto biegnącej pomiędzy zbożem i mającej pozór wąskiego korytarzyka, którego ściany tworzyło żyto wysokie, gęste, jeszcze zielone, ale już w bujne kłosy

usiane. Justyna przypadkiem znalazła się na tej ścieżce i nie myślała wcale o tym dokąd ją ona zawiedzie. Raczej instynktownie niż rozmyślnie uciekała od tego wszystkiego, co ją nudziło, raniło i poniżało. Od kilku lat cierpiała wiele, coraz więcej... Dlaczego czuła się tak głęboko i bez ratunku nieszczęśliwą? Jakim sposobem życie jej taki kierunek przybrało? Szła prędko, ze schyloną głową i myślała, że kiedy była dzieckiem, słyszała o tym że niegdyś ludzie bywali weseli i szczęśliwi, że im żyć było łatwo; teraz zaś życie stało się pełne trudów i przeszkód. Te przeszkody przełamywano dokoła niej z wyrzekaniami, których treść coraz lepiej rozumiała, z wysileniami, od których ludzkie twarze chudły i zmarszczkami okrywały się czoła. Ale jej ojciec czuł się spokojny i szczęśliwy, jak dawniej; nie przełamywał nic i żadnych wysileń nie czynił.

Wprawdzie ten wychowaniec przebrzmiałej doby, którego przez całą młodość dla pięknej gry na skrzypcach pieściły i wychwalały wszystkie dostępne mu towarzystwa, za którego rozmarzonymi oczyma przepadało wiele kobiet, nie był zawsze takim, jakim stał się w ostatnich dziesięciu latach. Justyna pamiętała, jak stopniowo zaokrąglał się i nabierał pulchności rąk i policzków; smutnym ani zagniewanym nie widziała go nigdy. Jakiekolwiek były otaczające go okolczności, zachowywał on zawsze z niezmąconą pogodą, dziecięcą prawie łagodność. Unosił się i płonął wtedy tylko, kiedy grał. Ojciec Justyny miał jeszcze drugą namiętność. Pod złotawym, a po tym już siwiejącym wąsem, zawsze puprpurowe, zmysłowe jego usta układały się w wyraz lubości, ilekroć zobaczył jaką-

kolwiek ładną twarzyczkę lub zgrabną kibić niewieścią. Można było nawet spostrzec, że obie jego namiętności podsycały się wzajemnie.

Wiele wspomnień mętnych i urywanych pozostało Justynie z owego czasu, kiedy jej matka często i gorzko płakała, a o jej ojcu domowi z cichym śmiechem wiele pomiędzy sobą szeptali. Wtedy jeszcze się dziwiła, nie rozumiejąc, ale niebawem zrozumieć musiała. Dokładnie dziś jeszcze mogła sobie wyobrzić tę kobietę chudą i zwinną, z włosami, jak krucze pióra czarnymi, i ognistymi oczyma niekiedy gadatliwą i zalotną, częściej ponurą!... Była to jej nauczycielka, Francuzka... Uczyli ją krótko i prędko dom opuściła, a prawie jednocześnie w podróż, która długo trwać miała, wyjechał i Orzelski. Zabrał ze sobą swoje skrzypce. Nietylko skrzypce — bo przed wyjazdem zaciągnął dług nowy i znaczny... Czy nieobecność ojca trwała kilka miesięcy lub rok cały, Justyna nie pamiętała, ale o przyczynie tej nieobecności już wiedziała dokładnie i jasno, bo przeraźliwego rozstroju domowego nikt przed dzieckiem nie ukrywał. Pamiętny był dla Justyny dzień, w którym pośród krzyczącej, znieważającej, albo żałośnie wyrzekającej gromady wierzycieli siadała z matką do powozu. Pojechały do Korczyna. Z pamięci Justyny nigdy nie wyszła rozmowa matki z Benedyktem Korczuńskim, w której kobieta oddawna już na siłach upadająca, a teraz śmiertelnie zagrożona, błagała krewnego o zaopiekowanie się córką, w razie jej rychłej śmierci. Zwątlała i bezsilna, drżała na całym ciele, ręce wychudłe i jak wosk żółte załamując, a twarz, jak opłatek przeźroczystą, strumieniem łez oblewając. Pan Benedykt mówił niewiele,

końce długiego wąsa do ust wkładał i przygryzał, ponuro przed siebie patrzył, aż nakoniec chylące się przed nim czoło krewnej ucałował i wyciągnięte ku niemu biedne ręce ścisnął. Kiedy powróciły do domu, na dziedzińcu już usłyszały tony skrzypiec. Pan tego domu powrócił, lecz nie na długo. Wkrótce, wiadomością o śmierci krewnej przywołany, pan Benedykt przyjechał, z mnóstwem trudów interesa majątkowe uregulował, małą sumkę z ogólnego rozbicia uratował i owdowiałego ojca razem z czternastoletnią córką zabrał do Korczyna. Orzelski był tym stanem rzeczy uszczęśliwiony. Po swojej ostatniej przygodzie postarzał się znacznie, więcej tyć zaczął i dla płci pięknej zobojętniał. Nie pozbył się przecie wszelkich przyjemności życia. Kuchnia korczyńska, dzięki Marcie, była wcale dobra, a dni całe zostawały wolne, zupełnie wolne od wszystkiego, co kolwiek przed tym niekiedy ciążyło. Mógł je bez żadnej przeszkody i odpowiedzialności poświęcić muzyce.

Pani Andrzejowa zajęła się szczerze losem Justyny. Na spółkę z panem Benedyktem opłacała jej nauczycielki. Sprawiała jej coraz nowe i ładne suknie, sprowadzała dla niej książki i nuty. Czasem dorosłą już dziewczynkę na tygodnie i miesiące zabiera do swoich niegdyś pięknych i obszernych, a dziś znacznie zmalałych i powoli w ruinę upadających Osowiec.

Tu przypomniał jej się młody chłopak, o sześć lat od niej starszy, w domu przez matkę starannie od wszelkich powszednich zajęć i zjawisk życia odsuwany, wypieszczony, delikatny, z przepowiadaną mu przez wszystkich otaczających słoneczną przyszłością genjalnego artysty... Z tym nawpół wy-

kwintnym paniczem, a nawpół rozegzaltowanym artystą łączyły się dla Justyny wspomnienia tych wszystkich wydarzeń i wzruszeń, które zazwyczaj wątek miłości, świeżej, szczerej, lata całe trwającej. Były tam ranki majowe i księżycowe wieczory, długie przechadzki, ciche rozmowy, wspólne czytanie poetycznych i wzniosłych utworów, płacze pożegnań, kiedy on dla kształcenia swego talentu odjeżdżał w dalekie kraje, listy wysyłane i otrzymywane, namiętne radości powitań, przyrzeczenia, przysięgi, plany wspólnej przyszłości, upojenia, po których dniami i tygodniami czuła na swoich ustach ogień i słodycz jego pocałunków. Dziś jeszcze, o tym wszystkim wspominając, stanęła wśród ścieżki i w dłoniach ukryła twarz, do której dawna, silna i jedyna jej dotąd miłość uderzyła falą wzburzonej krwi. Prędko przecież pobladła, z gniewem w oczach wyprostowała się i szła dalej. Jakże skończył się ten poemat? O, bardzo prozaicznie. Wprawdzie bohater poematu wymówił głośno wyraz: „Małżeństwo!“ i nawet przez całe dwa miesiące zrazu energicznie i uparcie, a potem coraz słabiej go powtarzał. W tych dwóch miesiącach Justyna pamiętała każdy dzień i prawie każde do niej i o niej wymówione słowo. Myślała wtedy, że idzie o jej życie, więc wzrokiem i słuchem, które stały się nagle bardzo przenikliwymi, badała wszystko, co się działo dokoła. Wiedziała też o wszystkim. Wkoło niej wrzało. Pani Andrzejowej ubyło coś z jej majestatycznej postawy; tak czuła się zrozpaczoną postanowieniem syna. Mogła ona z wielką dobrocią i hojnością wychować ubogą sierotę, związkiem krwi połączoną z człowiekiem, którego w miarę upływającego czasu coraz więcej, jak utraconego

kochanka i świętego, kochała i czciła. Ale kiedy po tym tę, nawet ulubioną przez siebie dziewczynę przymierzyła z synem, uznała ją za tak malutką i położeniem w świecie i wychowaniem, urodą i rozumem, że pojąć poprostu nie mogła takiego związku. Ciotka Zygmunta, kobieta bardzo żywa i wysoko ceniąca bogactwo, rzekła Justynie otwarcie:

— „Powinnaś była wiedzieć, moja Justynko, że tacy ludzie, jak Zygmunt, z takimi jak ty dziewczętami romansują często, ale nie żenią się prawie nigdy!“

Pan Benedykt wpadał w gniewy tak głośne, że w całym domu go słyszano, gdy zapytywał: Czy ma dziewczynę utopić, czy zastrzelić? Nakoniec rozmówił się z Zygmuntem i na zakończenie z chmurną żartobliwością rzekł: — „Wiesz co, gagatku, jedź sobie znowu za granicę i ucz się malować... Osowce wprawdzie zmarnują się do reszty, ale tobie samemu pewno serce nie pęknie... bo.. bo.. prawdę mówiąc, sam nie wiesz, czego chcesz!“ Jakoś wyjechał — a po dwóch latach, spędzonych w ogniskach sztuk pięknych, przeważnia w Monachium, wrócił żonaty.

Całe to wydarzenie było dla Justyyny ciosem. Czuła, że w niej godność ludzką jeszcze okrutniej zraniono, aniżeli miłość. Otworzyło to zarazem jej oczy. Spostrzegła i zrozumiała wielle rzeczy. Dotąd miłość, uciechy jej, cierpienia i marzenia, pożerały jej czas i do syta karmiły myśli i serce. Gdy tego pokarmu zabrakło, spostrzegła i uczuła, że nie posiada żadnego innego dla nasycenia ciężko wlokących się godzin i dni; że w niej i dokoła niej niema nic takiego,na czym by mogła zawiesić kotwicę nadziei jakiejkolwiek. Czasem, gdy zamykała oczy i

myślała o tym, co z nią jest i co być może, zdawało się jej, że patrzy w jakąś bezmierną pustkę, po której, niby widma strapione i wątlejące, błąkały się młode siły jej ciała i ducha...Teraz człowiek ten chce znowu w tej pustce rozpalić płomień, który już raz srodze oparzył jej skrzydła. Przed kilkunastu zaledwie minutami do głębi swojej istoty czuła się wzruszoną samym tylko dźwiękiem jego głosu. Sto głosów zdawało się w niej wołać: nie! A jednak, w nudzie i bezcelowości życia swojego, może kiedyś... może... Nie była dzieckiem, miała lat dwadzieścia cztery i niegdyś bardzo kochała — wiedziała, czuła, czym bywa i jakie przemoce wywiera szał krwi i serca... Przerażenie dreszczem po ciele jej przebiegło. Zarazem czoło jej zapłoniło się wstydem. Przypomniała sobie spojrzenia i zaczepki tego drugiego, wykwintnego pana, z wychudłem ciałem, chorobliwie drgającym czołem i atlasową ręką, która tak bardzo szukała i dotknęła jej ręki. Cóż to było? Podobała mu się? Wiedziała to aż nadto, ależ czyż także z doświadczenia nie wiedziała, że „tacy jak on z takimi jak ona dziewczętami romansują często, ale nie żenią się prawie nigdy?“.

Kimże więc była? jakie było jej miejsce i znaczenie pośród tych, z którymi upływało jej życie? O naturalnie powiedziano jej to dawniej i sama przyznawała: była ona — „nie wiedzieć kim!“ W gardle uczuła dławienie żalu, a na podniebieniu palącą gorycz upokorzonej dumy. Jednak uspakajała się powoli. Z szerokiej przestrzeni przelatywały świeże powiewy i łaskawie muskały jej włosy i szyję. Nagle za zbożem, niedaleko rozległ się głos męski, który zawołał: — „Hej, kasztan, hej! hej!“. A w minutę po tym, po raz drugi: — „Wolniej,

gniada, wolniej . W wołaniu tym, rozchodzącym się po ciszy polne, nie było nic smutnego; owszem, brzmiało ono raźnie i ochoczo. Wnet rozległo się gwizdanie, w którym wyraźnie rozpoznanć można było nutę piosenki, zaczynającej się od słów: — „Przy drodze, przy drodze, jawor rozkwitnąwszy, gdzie pojedziesz, mój Jasińku, konia osiodławszy?“.

Justyna wyszła ze zbożowej puszczy i stanęła pod gruszą. Z jednej strony w znacznej odległości widać było długą i szaro stąd wyglądającą wieś; z drugiej zaś dość blisko stały wzgórza porosłe drzewami. Od jednego ze wzgórzy ku gruszy polnej, posuwał się pług, ciągniony przez parę koni. Za pługiem, z rękami opartymi na wysoko sterczących „rączkach“ pługa, szedł wysoki i zgrabny człowiek, w białym, płóciennym surducie, długim do kolan obuwiu i małej czapce, która skórzanym daszkiem osłaniała mu czoło, a nie zasłaniała z tyłu głowy jasnowłosistych włosów. Szedł prosto, równym krokiem, bez żadnego widocznego wysilenia. Nagle gwizdać przestał i o kilka kroków spostrzec już było można, że się uczuł zdziwionym. Prędkim ruchem zdjął czapkę z głowy, konie zatrzymał i na kobietę, która tak niespodzianie dla niego wyszła z pomiędzy zboża, patrzył ze zmieszaniem. Usta mu się otworzyły i pod złotawym wąsem ukazały się śnieżne zęby. Uśmiechnął się, twarz obrócił, zawahał się, chrząknął, nakoniec, snać bojąc się zbyt głośno przemówić, prawie po cichu wyrzekł: — „Czy panienka potrzebuje czego? Może drogę dokąd pokazać lub robotnikom pana Korczyńskiego co powiedzieć? oni tam za górką...“ Porozumienie między dwojgiem młodych było z początku trudne, bo w sercu Janka Bohatyro-

wicza (on to orał rolę) tail się jakiś żal do Korczyma, ale powoli lody stopniały. Opowiedział pięknej dziewczynie swą młodość i obiecał zaprowadzić przez wieś do domu. Po drodze spotkali Jadwigę Domuntównę, urodziwą dziewczynę. Oboje doszli do domu Janka, zaprosił swą towarzyszkę, aby ich odwiedziła. Mieszkał ze stryjem Anzelmem, który go wychował, oraz ze siostrą Antolką. Stryj jego zgarniał właśnie siano. Początkowo wzdrygał się powitać Justynę, kiedy jednak Janek gorąco nalegał, przebrał się i przyjął ją grzecznie. Zaczęła się między nimi żywa rozmowa o Korczynie, o Marcie, o gospodarstwie, a następnie starzec jął oprowadzać Justynę po sadzie i opowiadać jej o pracach swych i zachodach koło niego. Tymczasem przyszedł do domu Anzelma jego sąsiad, Fabian Bohatyrowicz, który z racji przegranego przez gromadę szlachecką procesu z dworem o wygon, jął obelżywie odzywać się o panu Korczyńskim. Anzelm, usłyszawszy te ostre wyrzuty, wybuchnął gniewem, a dopomógł mu jeszcze Janek, któremu chodziło o Justynę. Gdy wyszedł, Anzelm i Janek udali się do parowu Jana i Cecylii, by tam wykończyć nawpół już gotowy krzyż. Justyna towarzyszyła obu Bohatyrowiczom. Miała już dość towarzystwa dworskiego, ponad które przekładała proste ale szlachetne dusze Anzelma i Janka.

ROZDZIAŁ VI.

Szlakiem, wzdłuż ogrodu przez koła wyżłobionym i białą dzięcieliną usianym, wyszli na nieszeroką drogę, która okolicę z polem rozdzielała. Długi dzień letni zbliżał się do końca. Na całe przestrze-

ni niebieskiego sklepienia ani jednej chmurki, ani nawet jednego obłoczka nie było. Niebo w środku szafirowe, bladło u skłonów, na zachodzie świecąc ogromną tarczą słoneczną, samotnie ku ciemnemu borowi płynącą. Justyna szeroko otwartymi oczyma dokoła siebie patrzyła. Znajdowała się teraz w samym niejako wnętrzu okolicy. Kilkadziesiąt domów, które okrążała, albo przez których dziedzińce i ogrody przechodziła, zamieszkiwało kilkaset istot ludzkich, które wszystkie u końca tego dnia pogody i pracy wysypywały się na zewnątrz. Mnóstwo kraciastych spódnic i kolorowych kaftanów kobiecych migało wszędzie. Na dziedzińcach, wśród ogromnego gdakania kur, kobiety cienkimi głosami do nocnych siedlisk zwoływały domowe ptactwo. Inne siedziały na zagonach, albo w wielkich fartuchach niosły dzikie zielsko, albo przed domami myły domowe statki, albo po grzędach rwały do koszów liście sałaty i lebiody. Jednokonne i dwukonne pługi, na szeroko rozkraczonych włokach położone, wracały z pola; idący za nimi mężczyźni w kapotach i surdutach, w wysokich butach i bosi, w czapkach małych i zgrabnych, albo wielkich i kosmatych, pokrzykiwali na konie, zdaleka zamieniając się urywkami rozmów; z łąk albo od łanów pastewnych powracający kosiarze pobłyskiwali kosami albo wznosili w powietrze zębiaste profile grabi. We wnętrzu domów huczały obracane żarna i stukały krosna.

Nagle koło najbliższego domu powstał krzyk, zmieszany z lamentem i śmiechem. Na drodze ściśniętej pomiędzy płotami dwóch zagród ukazała się para ludzi, z których mężczyzna był małym, przygarbionym starcem, w płóciennej, aż do stóp zapię-

tej kapocie, a kobieta — wysoką dziewczyną w różowym kaftanie i z kasztanowatymi włosami. Śnieżnie biała kapota nie była bielszą od włosów staruszka, zrzadka rozsianych po żółtej jego czaszce, a twarz jego bezzębna, malutka od ściągających ją zmarszczek, okryta była w tej chwili wyrazem nieprzytomnego przerażenia, które objawiało się także w widocznym w widocznym drżeniu rąk i całej szczupłej, zwiędłej postaci. Nie mógłby był pewnie trzymać się na plączących się i podrygujących nogach, gdyby go wielka i silna dziewczyna wpół nie obejmowała, twarz swoją ku twarzy jego pochylając i czasem łagodnie, a czasem z wybuchającą energią przemawiając: „Niech dziadziunio uspokoi się! Niech dziadunio do chaty powraca! Pacenko nie przyjechał! Pacenki nigdzie niema. On już po babulkę nie przyjedzie! On już umarł i babulka umarła! Proszę nie dziwaczyć i do chałupy wracać!“.

Ale stary prostował się z całej siły i nie zważając na perswazje dziewczyny, dygocącym głosem bełkotał i wykrzykiwał: — „Pójdę! znajdę! zabiję zwodnika! babulki nie dam! Gdzie on? Chodźmy, Jadwiśka, szukać! Prędzej chodźmy“.

Dziewczyna, podtrzymując wciąż jego chwiejącą się postać, powtarzała: — „Pacenki niema! Pacenko umarł i nigdy już nie przyjedzie! To tylko te złe chłopcy Ładysiowej dziadunia tak straszą!“.

A stary rwał się naprzód i swoje powtarzał, a coraz bardziej trząsł się i zwiędłą ręką w powietrzu wygrażać począł. Za nim dwaj chłopcy, bosi, gołogłowi, z minami wiejskich urwiszów, wyskakiwali, śmiejąc się głośno i powtarzając: — Pacenko przyjechał i dziadulkowi babulkę odbierze!“.

Dziewczyna podniosła głowę zjeżoną gęstwiną kasztanowatych włosów, a z szafirowych jej oczu na pełne i rozognione policzki ciekły łzy — „Co ja pocznę! — lamentowała — straszą i straszą, a ten idzie i idzie... znowu narazi się na kiepkowanie ludzkie, albo upadnie i stłucze się, jak wtedy...“.

Jan do Justyny szepnął: — „Stary zawsze tak wariuje, jak tylko kto mu powie, że Pacenko przyjechał... To ten Pacenko, co mu niegdyś żonę zwiódł i w świat powiózł“. Biedny, nieszczęśliwy starzec uspokoił się dopiero wówczas, gdy mu Anzelm energicznymi i stanowczymi słowami dowiódł, że Pacenko naprawdę już nie żyje i że wobec tego nigdy nie przyjedzie do wsi. Jadwiga, która czuła gorącą sympatię dla Janka, podziękowała serdecznie Anzelmowi za uspokojenie swego dziadka i poczęła zapraszać go wraz z bratankiem do swego domu w gościnę. Anzelm atoli odmówił, poczym wraz z Jankiem i Justyną podążył spiesznie do parowu Cecylii.

Po niejakim czasie troje wędrowców znalazło się w miejscu o kilka stóp zaledwie oddalonym od szczytu góry, na łagodnej pochyłości, która stworzyła małą, nieco spadzistą równinę. Trzeba było trochę wzrok podnieść, aby zobaczyć ruchomą frendzlę zboża, rozrzuconego nad samym brzegiem parowu. U końca cienistej i w nierówne wschody powyszczerbianej alei, którą wspięli się aż tutaj, leżał olbrzymi kamień, mający liczne wgłębienia i wypukłości, za siedzenia służyć mogące, miejscami siwym i brunatnym mchem obrosły, a miejscami uwieńczony gibkimi gałęziami ożyn i rozchodników. Kilka cienkich sosen z szerokimi u góry koronami i rozłożysta grusza, z gęstwiną drobnych liści wy-

rastały tam z ziemi, okrytej rzadką trawą i osypane, igłami sosen. Pod sosnami i gruszą coś czerwieniało, błękitniało i bielało; trzeba było wejść pomiędzy drzewa, aby rozpoznać, że to grobowiec... Był to grobowiec bardzo prosty i ubogi, ale takiego kształtu i w taki sposób przyozdobiony, że aby móc podobny zobaczyć, trzebaby cofnąć się o kilka wieków. Składał się z sześciokątneko, grubego u podstaw, a zwężającego się ku szczytowi krzyża, na którego czerwonym tle bielała postać Chrystusa, a którego boki okryte były różnobarwnymi godłami i figurami. Były tam białym pokostem powleczone i ściśle do krzyża przylegające trupie głowy, różne narzędzia męki Chrystusowej, płaskie popiersie Bogarodzicy, z tkwiącymi w nim siedmiu pozłacanymi niegdyś i w kształt miecza wyrzeźbionymi strzałami, wsparte na rękach i na podstawach z drzewa lub gliny siedzące, wypukłe figury świętych. Z chudości tych figur, z długości ich członków, z okaleczeń, którymi czas zatarł rysy ich twarzy, poznać było smak i robotę odległych czasów. Krzyż był tak spróchniały, że rychłym upadkiem groził; ale rozpięta na nim postać Chrystusa i figury okrywającej boki krzyża, przez czas okaleczone, ze spłowiałymi barwami i pozłotami, zachowywały główne zarysy. Osłaniał je i od zupełnego zniszczenia chronił zawieszony u szczytu gontowy daszek. Na szerokiej podstawie krzyża bielał wyraźny jeszcze, choć miejscami zacierający się napis: „J a n i C e c y l i a, r o k 1549 m e m e n t o m o r i“.

Napis grobowy był zagadką. Nazwiska nie miał żadnego. Z bezimiennego grobowca, osłonionego ścianą nadniemeńskiego parowu, trzy wieki pra-

wie patrzyły na przepaść zieloną, z warczącą w głębi krynicą, na olbrzymi i cały w mchach i wiankach leżący kamień, na wielki trójkąt Niemna, odsłoniony tu przez wyginające się w tył ściany przepaści i stojący teraz w cichej pogodzie.

Za nieruchomą, zda się, rzeką, wielka, samotna tarcza słoneczna wisiała nad samym już szczytem boru i tak go światłem swoim przenikała, że żółte pnie sosen wyraźne oddzielały się wzajem od siebie, pod ciemnym pokryciem koron stojąc nieprzejrzanymi szeregami.

Teraz ciszę tu panującą przerywać począł monotonny szmer hebla, przesuwającego się po leżącej na ziemi i do połowy już obrobionej kłodzie drzewa. Anzelm zdjął swoją wielką czapkę przed grobowcem, ale wnet znowu głowę nakrył i w milczeniu, z nasępionymi brwiami pogrążył się w swojej robocie. Powoli i jakby automatycznie, nieprzerwanie przecież, długa i blada jego ręka przesuwała narzędzie po powierzchni drzewa. Krzyż próchniejący, który pierwsze jesienne wiatry obalić mogły, musiał być zastąpiony przez inny. Ponieważ jednak niebawem zaczął już zmrok zapadać, więc Anzelm zaprzestał swej pracy i począł opowiadać dzieje Jana i Cecylii.

W dawnych czasach,wnet po przyjęciu chrześcijaństwa przez Litwinów,przybyło z Polski w tę okolicę dwoje nieznanych ludzi: kobieta wywodziła się ze szlachty, mężczyzna z gminu. Oboje osiedlili się w tym oto wąwozie nad brzegiem Niemna, w głębi puszczy, gdzie wybudowali sobie chatkę. Łączyła ich gorąca miłość i wnet szczebiot dziecięcy rozweselił wnętrze chatki. Mieszkańcy okolicznych osiedli zbiegli się do nich licznie po naukę, gdy się

dowiedzieli o tajemniczych przybyszach, o ich gospodarce, o uprawie zboża, której Litwini jeszcze wówczas nie znali, o używaniu przeróżnych narzędzi gospodarskich. Synowie Jana i Cecylii pożenili się z córkami sąsiadów, córki powychodziły za mąż, a wszyscy osiedlali się w sąsiedztwie chaty ojców, karczując lasy coraz dalej. Pewnego razu przyjechał w owe bory na polowanie król Zygmunt August i dowiedział się o osadzie w głębi lasu położonej. Podjechał ku osadzie i zdumiony dokonanym dziełem cywilizacyjnym, wezwał starych Jana i Cecylię, chcąc się dowiedzieć, kim są i skąd pochodzą. Lecz królowi odmówił Jan bliższych wyjaśnień. Król atoli, nie zrażony tym, nadał im i ich rodowi szlachectwo z herbem Pomian i nazwisko Bohatyrowiczów, od bohaterstwa założyciela rodu pochodzące. To działo się w r. 1549. Odtąd siedzieli Bohatyrowiczowie na swych działkach, chodzili na wojny, brali udział w życiu sejmikowem szlacheckim; jedni dorabiali się większych majątków, drudzy pozostali biednymi. Dopiero po rozbiorach odebrano im szlachectwo i zrównano z chłopami. Gniecie ich ubóstwo i ciemnota coraz większa.

Opowiadanie Anzelma wywarło ogromne wrażenie na Justynie. Objąwszy ramionami cienki pień brzozy, patrzyła w szarzejącą przestrzeń rozmarzonymi oczyma. Myślała zapewne, że szczęśliwymi, bardzo szczęśliwymi byli ci ludzie, którzy tyle miłości w piersiach nosili i takie na ziemi pełnili zadania; że ona także z ochotą i dumą poszłaby na krańce ciemnej jakiej puszczy i pod dach jakiej ubogiej kumy, byleby nie mieć w sercu i w życiu pustyni, byleby czuć się kochaną serdecznie i wier-

nie i widzieć przed sobą cel, choćby drobną migocący gwiazdą! Myślała pewno, że miała dziś sen cudowny, z którym zjawiło się przed nią jakieś długie, czyste, wysokie szczęście... Jan kochający Justynę, lecz nie mający odwagi jej tego wyznać, również jak ona, zazdrościł szczęścia tym dwojgu.

ROZDZIAŁ VII.

W Olszynce, za olchowym gajem, od którego zapewne folwark ten wziął nazwanie, na łagodnej wyniosłości gruntu, dom niewielki, drewniany, nieotynkowany niby z kosza zieleni, wychylał się ze starych, ogromnie rozrosłych bzów i z gęstego rzędu fasoli, która, tuż przy ścianie położona, gęste i teraz kwitnące sploty zarzucała na tyki, sięgające prawie niskiego dachu. Było to miejsce ciche, skromne i prawie odludne. Z domu i całego jego otoczenia odrazu wnieść było można, że wśród średniej własności ziemskiej Olszynka była możliwie najmniejsza. Wniosek ten potwierdzała wieś chłopska, pomiędzy łąkami do grupy wierzb przyparta. Składała się z kilkunastu chat, dość czysto i dostatnio wyglądających. Z bliskości, w której się znajdowała od dworku, łatwo było zgadnąć, że niegdyś do Olszynki należała. Był to więc dawniej mająteczek killkunasto-chatowy czyli znajdujący się na granicy, za którą już do najdrobniejszych ułamków ziemi spływała mała własność.

Po sieni, kuchni i izbie czeladnej krzątała się gospodyni domu, pani Kirłowa. Dla chłodu i panujących w domu przeciągów, miała na sobie rodzaj

sukiennego tołubka, z pod którego widać było tylko brzeg perkalowej spódnicy. Nawet to gospodarskie grube ubranie uczynić jej nie mogło grubą i niezgrabną. Z kibicią prostą, wysmukłą, o wdzięcznej linii biustu i ramion, która nadawała jej zdaleka pozór pierwszej młodości, z ogorzałą cerą twarzy, mocno odbijającą od zawiązanej na szyi chustki ze śliczny m warkoczem jasnych włosów, niedbale z tyłu głowy skręconym, — zaglądała ona do dzieży, w której dziewczyna miesiła ciasto, albo, przechodząc do izby czeladnej, doglądała prania bielizny, albo od płonącego w wielkim piecu ognia odstawiała hładysze, których mleko zsiadłe zamieniło się już na twaróg i zastępowała je coraz innymi , które z ganku przynosiła. Miała dnia tego wiele zajęcia obok trzech razem odbywających się robót, prania bielizny, pieczenia chleba i robienia serów; równocześnie zaś musiała czuwać nad dziećmi.

Nagle przed ganek dworku zajechała kareta, z której wysiadł rzadko do Kirłów zaglądający p. Różyc. Pani Kirłowa przywitała go z radością, chociaż była zaambarasowana. Zaprosiła go do salonu przepraszając po drodze z rozgardiasz i nieporządek, jaki panował w całym domu. Różyc jednak, (który był jej kuzynem) nie zwracał na to wszystko uwagi, gdyż myśli jego w danej chwili czym innym były zajęte. Z rozmowy, jaka się następnie zawiązuje pomiędzy gościem a gospodynią domu, dowiadujemy się, że Różyc jest morfinistą i człowiekiem przeżytym, to też skarży się na swoje udręczenia. Pragnie gorąco zbliżyć się do Justyny

Orzelskiej, która bardzo mu się podobała. Pani Kirłowa, domyślając się w tym jakiegoś nowego romansu ze strony Różyca, gani go z początku, a następnie radzi mu ożenić się z Justyną. Różyc jednak odrzuca tę radę i uznaje ten ożenek za niemożliwy, a to z tej przyczyny, że Justyna nie posiada odpowiedniego wychowania i nie jest mu równa urodzeniem, ani położeniem towarzyskim. Dalszą rozmowę przerywa jakiś wypadek z dziećmi, który panią Kirłową wywołuje ze saloniku. Gdy zakłopotana matka wróciła do gościa, poczęła mu opowiadać o nowych zgryzotach, o wychowaniu dzieci i o złym stanie majętności. P. Różyc, chcąc jej dopomóc, postawił propozycję, aby jej mąż wziął w zarząd jego majątek, ale ona nie mogła się na to zgodzić, gdyż czuła doskonale, że jej leniwy i tylko z dworu do dworu jeżdżący mąż zupełnie się do takich ciężkich obowiązków nie nadawał. Po pewnym wahaniu zgodziła się, by ponosił koszta wychowania jej synów aż do pełnoletności. Gościa stopniowo zaczyna ogarniać apatia, gdyż morfina, zażyta przed kilku godzinami, przestała działać, wobec czego spieszy z odjazdem. Kirłowa naostatek jeszcze namawia go, by się ożenił z kobietą rozsądną i szlachetną, którąby kochał. Różyc obiecał jeszcze z nią w tej kwestii pomówić, gdy przyjedzie do niego do Wołoszczyzny, dokąd ją zaprosił. Gdy Różyc wyjechał z Olszyny, pani Kirłowa, stojąc na ganku, zwracała pełne niepokoju spojrzenia na swą córkę, Marynię i Witołda Korczyńskiego, który często z nią przebywał, obawiała się, by między tym dwojgiem młodych nie pojawiło się coś więcej ponad

zwykłą przyjaźń, coby mogło stać się prawdziwym nieszczęściem. Lecz, gdy zbiegłszy z ganku dosłyszała urywek ich rozmowy, uspokoiła się zupełnie i wyzbyła całkowicie wszelkich obaw i podejrzeń.

ROZDZIAŁ VIII.

Silny niepokój ogarnął mieszkańców dworu w Korczynie, gdyż pani Emilia, odznaczająca się zawsze słabym zdrowiem, poważnie zaniemogła. Sprowadzono natychmiast lekarza, który stwierdził atak nerwowy silniejszy niż zwykle, oraz katar oskrzeli. Doktor mimochodem zwrócił uwagę na niepokojący kaszel Marty, która atoli za nic w świecie nie chce się poddać badaniom lekarskim i z uporem twierdzi, że się czuje zupełnie zdrowo. Gdy Justyna wróciła z pękiem kwiecia z Bohatyrowicz, Marta zaczęła ostro zrzędzić i upominać młodą dziewczynę, by nie bawiła się z Jankiem, bo jego serce nie z kamienia, chociaż to chłop. Pani Emilia, gdy stan jej nerwów się nieco polepszył, słuchała lektury Tereni, która czytała jej opis podróży po Egipcie. Wkrótce po odjeździe lekarza przybył z wizytą pan Darzecki z córkami. W rozmowie z panem Benedyktem wychodzi na jaw cel jego wizyty; przybył mianowicie po zwrot zahipotekowanego na Korczynie posagu żony jego, gdyż pragnie zań sprawić wyprawę dla swej najstarszej córki, która idzie za mąż za hrabiego. Pan Benedykt, dla którego jednorazowe wypłacenie posagu w kwocie kilkunastu tysięcy rubli groziło zupełną ruiną majątkową, prosił Darzeckiego, aby ten zadowolił się na-

razie połową należnej mu sumy. Nieproszony gość atoli ani słyszeć o tym nie chce, gdyż pieniędzy natychmiast mu trzeba. W ostatnich czasach miał ogromne wydatki, co prawda, na rzeczy luksusowe, ale poczynić musiał różne inowacje w domu, bo córki dorosły. Ostatecznie doradził panu Benedyktowi, by sprzedał dąbrowę lub pożyczył odpowiednią sumę, co ostatecznie sam mógłby panu Benedyktowi ułatwić. Ten jednak dąbrowy sprzedać nie chce, bo tam się znajduje mogiła brata Andrzeja. Gdy p. Darzecki wyjechał z Korczyna, pomiędzy panem Benedyktem a synem jego, Witołdem, który przysłuchiwał się całej rozmowie z gościem, wybuchła zacięta kłótnia. Syn zarzucał ojcu, że nadskakiwał i płaszczył się wobec Darzeckiego, który jego zdaniem jest tylko płaskim samolubem, pyszałkiem i sybarytą. Z córek uczynił sroki bezmyślne, a siostrę jego, Witołda, chowają tak samo, jak panny Darzeckie. Darzecki dba wyłącznie tylko o wygody swoje i swych córek, a nic go nie obchodzi dobro i szczęście innych ludzi oraz krewnych. Pan Benedykt pod wpływem sprzeczki uniósł się bardzo, nazwał synem błaznem, nakazał mu milczenie, poczym dosiadł konia i pocwałował do robotników w pole. Witołd udał się wraz z Jankiem Bohatyrowiczem na Niemen łowić ryby. Tymczasem pani Emilia czuła się bardzo smutną i pragnęła jakiejś podniety moralnej, więc poprosiła do salonu starego Orzelskiego, który przy akompaniamencie córki grał przecudne melodie skrzypcowe. Nadjechał Kirło. Tym razem nie żartował już z Orzelskiego. Justynę powitał z uszanowaniem i składał życzenia, czego ona nie zrozumiała i wzięła znów za

żart. Pani Emilia ogromnie się ucieszyła z przyjazdu Kirły i znalazła w sobie dość sił, by powitać, przybrać się odpowiednio oraz wyjść do buduaru na rozmowę ze swym platonicznym adoratorem, bo istotnie żywił Kirło głęboko tajoną miłość ku pani Korczyńskiej, co też odczuwała doskonale ta ostatnia. Odeń dowiedziała się pani Emilia o wcale poważnych zamiarach, jakie względem Justyny żywił Różyc i o tym, że jego zdaniem, wkońcu ten rozczarowany i zblazowany młodzian poprosi o rękę panny Orzelskiej. Pani Emilii mezalians taki w głowie pomieścić nie mógł, a po tym rozrzewniła się i uważała to za wielkie szczęście dla Justyny. Leonja, córka Korczyńskich, była mimowolnym świadkiem rozmowy matki z Kirłą, więc czymprędzej zaniosła „radosną nowinę" Justynie, która jednak nie przejęła się wcale owym rzekomym szczęściem, jakie jej przynosił p. Różyc. Podobnie z obojętnością odniosła się do gorącego listu p. Zygmunta, przysłanego jej wraz z tomem poezyj Musseta. Serce jej teraz biło wyłącznie tylko dla Janka Bohatyrowicza, choć ona sama sobie jasno z tego nie zdawała sprawy.

TOM II.

ROZDZIAŁ I.

W porze żniw, na tej rozległej równinie ziemia wydawała się złotym fundamentem, dźwigającym błękitną kopułę i ukrytym ruchliwym mrowiem drobnych istot. Właściwa barwa ziemi ukazywała się tylko tu i ówdzie na drogach porosłych rzadką

trawą i na wcześnie zaoranych małych szmatach pola; zresztą wszędzie od wzgórz obrosłych drzewami do wysokiej ściany nadniemeńskiej, dojrzałe zboża płynęły gorąco-żółtą lawą, która miejscami wyginała się w zagłębienia, okryte również gorąco-żółtym ścierniskiem. Na rozległej przestrzeni pola, którą wąska droga od okolicy bohatyrowickiej oddziela, żniwiarze wydawali się rojem istot nietylko ruchliwych, ale i różnobarwnych. Wyglądało to tak, jakby malarz jakiś gorąco-żółte tło bez ładu i symetrii obsypał kroplami różnych farb. Biała i różowa przemagały wszystkie inne. Były to koszule mężczyzn i kaftany kobiet.

Przez parę tygodni poprzedzających porę żniw w Bohatyrowiczach panował wielki ruch z powodu prania i szycia. Do kilkunastu najmozolniejszych dni w roku przygotowano się tam, jak do wielkiego święta. Cała ludność okolicy jednocześnie wylec miała w pole, dla każdego więc było to wystąpienie publiczne, o którego przystojność, a nawet niejaką wykwintność niezmiernie dbano. Kobiety dłużej niż zwykle przesiadywały nad brzegiem rzeki, stukami pralników napełniając powietrze, a pranie to jeszcze poprawiały w domu dopóty, dopóki płóciennej odzieży mężów i braci nie nadały prawie olśniewającej białości. Otwierały one skrzynie i wydobywały z nich najlepszym smakiem na domowych krosnach, z lnu i wełny wytkane spodnice. Szyły nowe kaftany i bardzo biedna była już ta, która, jak żona Ładysia, z chatki pod dębem stojącej, nie miała wtedy na palcu mosiężnego naparstka, a w ręku kilka łokci liliowego, błękitnego lub różowego perkalu. Bardzo też biednym był ten, ktyry, jak ów

Ładyś, z chłopska mówiący, a bujną złocistą czuprynę w górę zaczesujący nad szerokim czołem, nie mógł na tę porę przywdziać nowego obuwia, z cholewami kolan sięgającymi, oraz czarnych spodni, których szelki ciemnymi liniami przerzynały na krzyż olśniewającą białość koszuli.

Wóz, ciągnięty przez kasztanka i gniadą, cicho wtoczył się na ścierniskо. — O Jezu! krzyknął Jan i kilku skokami znalazł się przy kobiecie na snopkach siedzącej. Ze swobodną, przyjacielską wesołością Justyna z niskiego siedzenia swego oczy na przybyłego wzniosła i żywym ruchem rękę ku niemu na powitanie wyciągnęła. On tę rękę w obie dłonie chwycił i nisko schylony, na chwilę do niej ustami przylgnął. — „Troszkę spodziewałem się, że pani dziś do nas przyjdzie, bo mówiła, że chce na naszą robotę z bliska popatrzeć, ale wszystko jedno: jak zobaczyłem, że pani tu siedzi, jakby mi słońce przed oczyma zaświeciło...“

Po kilku chwilach rozmowy znowu na łanie zapanowała praca milcząca i gorliwa. Lekkie przedwieczorne wiatry muskać poczęły wierzchołki nieżżętych jeszcze zbóż i urywanymi akordami szmerów wtórować temu suchemu, monotonnemu, nieustanemu szelestowi, jaki wydawały łamiące się pod sierpami kłosy i z ziemi podnoszone snopy. W tym szeleście i w tych szmerach żniwiarek różnobarwne, milczące i niskie, wysmukłe i przysadziste, prostowały się co chwila i wtył, nieco odgięte podnosiły w rękach garście długich, kłosistych łodyg, które na rozciągniętym powróśle złożywszy, znowu ku ziemi przypadały. Czasem ta lub owa szybkim ruchem rękaw odzieży po spotniałym czole przesu-

nęła lub odetchnęła głośno. Do stóp im razem z kłosami upadały różowe kąkole, pąsowe maki i siwiejące bławatki; za nimi, niskie liliowe groszki, drobne rumianki, kosmate kotki, zostawały nietknięte śród ostrych kolców ścierni; z pod ich rąk niekiedy wznosił się i w powietrzu igrał biały puch przekwitłego brodawnika, przed nimi, o kilka czasem kroków, zrywał się ptak spłoszony i przelęknionym lotem przerznąwszy powietrze, nie wiedzieć gdzie, może w gęstwinie zbóż jeszcze stojących, przepadał.

Na kilku snopach, w jednym miejscu złożonych, siedziała Justyna w zamyślonej postawie, z twarzą na dłoń spuszczoną. Uważnie, ciekawie przypatrywała się ruchom pracującego przed nią mrowia ludzi. Ona także, od dnia tego, w któym po raz pierwszy weszła doo zagrody Anzelma i Jana, odbywała podróż po kraju nieznanym. Przed tym, w bezpośrednim jego sąsiedztwie żyjąc, wiedziała o nim to tylko, że istnieje. Teraz przenikała w coraz dalsze jego głębie. Jak imion i dziejów wielu z tych roślin dzikich i pachnących, po które zawsze sięgała chciwie okiem i ręką, tak imion i dziejów wielu z tych ludzi się nauczyła. Ta podróż po kraju natury, ku któremu zawsze pociąg czuła, po kraju ludzi, których dotąd nie znała, budziła jej ciekawość i zajmowała umysł. Jak bujne kwiaty, rzeźwą rosą operlone i nieskończoną ilością barw jaśniejące, te poznawane z bliska widoki, prące, dzieje, wpadły do tej wielkiej, ciemnej pustki, którą odawna widywała, ilekroć przymknąwszy oczy, patrzeć usiłowała w siebie i w swoje życie. Teraz pełnym, bystrym, na wszystko uważnym okiem pa-

trzyła na to, co działo się przed nią. Czasem napełniało ją wielkie rozradowanie, podnoszące się, kto wie skąd? może z łanów złotych ze ścierniska przetykanego kwiatami, z powietrznych ruchów, sprawianych przez skrzydła ptasie i powiewy nadrzecznych wiatrów. Czasem wspaniała, choć prosta malowniczość widoków uderzała w nią falą zachwycenia, z której prostowała ona swą kibić tak, jakby sama na wzór żniwiarek, podnoszących w rękach kłosiste więzie, wnet powstać miała i niecierpliwie, czy błagalnie nad głową wyciągać swe puste dłonie. Były też chwile, w których neustający, suchy szelest kłosów wydawał się jej mową ziemi. Niedarmo dawny jej kochanek wspomniał jej o minionych marzeniach i zapałach. Była do nich skłonna i w tej chwili, bo raz, gdy pochylona, z blaskiem w oczach i półuśmiechem na ustach, wsłuchiwała się w szepty ziemi, uczyniła ruch taki jakby zaraz zsunąć sę z niskiego siedzenia i do łona jej przypaść miała.

Tym czasem pod rękami coraz gorliwiej pracujących żniwiarek szelest kłosów stawał się coraz głośniejszy, coraz żwawiej rzucane snopy wydawały, spadając na wozy, głuche, szemrzące stuki. Od ziemi, oblanej wonią świeżej słomy i okrytej ścierniskiem wyhaftowanym w drobne kwiaty, Justyna podniosła twarz, zbladłą nieco, zesztywniałą, przez kilka minut postarzałą o lat kilka, ze źrenicami przygasłymi, które wilgocią zachodziły. Z dziwnym zmieszaniem, jakby nagle uczuła się w tym miejscu gościem natrętnym, istotą obcą i niepotrzebną, chwastem w kłosy wplątanym, uczyniła ruch do powstania. Usiadła jednak znowu i zmieszane, niespo-

kojne spojrzenia rzucała dokoła siebie. Jedno z tych spojrzeń spotkało się z stojącą w pobliżu, znieruchomiałą postacią Jana. Od kilku minut już, robotę swą przerwawszy, stojąc u samego wozu, do połowy napełnionego snopami, wpatrywał się on w Justynę z takim wytężeniem, że aż głowę podawał naprzód, a na białe czoło wystąpiły znowu grube poprzeczne fałdy. W rękach jego długie widły ukośną linią opuszczały się ku ziemi, badawcza ciekawość pogłębiała błękitne jego źrenice. Nagle widły mu z rąk wypadły i namiętnie zadrgały rysy. W mgnieniu oka znalazł się przy niej, pochylił się, uczynił ruch taki, jakby rękę chciał pochwycić, lecz tylko przyciszonym głosem przemówił: — „Co pani takiego? Taka pani zrobiła się smętna? Aż łzy w oczach stanęły... Dla jakiej przyczyny?

Podniosła na niego oczy, napełnione błyskiem i łzami i cicho odpowiedziała: — „Poco ja tu, między wami? Wstyd mi! taki wstyd... Poszłabym sobie, ale i w domu także nic...“ Umilkła, lecz on jeszcze słuchał chwilę, a po tym, z ową głęboką brózdą, która w ostatnich dniach na czole jego zjawiać się zaczęła, wyprostował się i przed nią stanął. Nie wydawał się wcale zdziwionym, tylko w zamyśleniu, ze wzrokiem w ziemię utkwionym, końcami palców dotykał czoła. Potemi milcząc, zrobił parę szerokich kroków, pochylił się nad matką i szepnął do niej słów kilka, a gdy do Justyny powrócił sierp trzymał w ręku. Młoda panna przyjęła to narzędzie żniwiarskie i zaczęła żąć, co prawda, trudno jej szło z początku, zacięła się do krwi w dłoń, lecz nie poniechała pracy. Tymczasem wybuchła sprzeczka pomiędzy Fabianami a Ładysiem o to, że Ładyś

zżął nieco zboża z sąsiedniego zagonu Fabiana. Przyszło nawet do bójki, którą Jan z trudem uśmierzył. Z zachodem słońca na łan tego ostatniego przybył pan Witold Korczyński, którego młody Bohatyrowicz powitał ze szczerą radością. Gdy ujrzał Justynę zajętą żęciem zboża, nie szczędził jej pochwał za to, że ta wzięła się do pracy, porzuciwszy książki i nieużyteczny fortepian. Zachęciwszy jeszcze do wytrwania w tym zajęciu, udał się wraz z towarzyszącą mu gromadą do „okolicy" t. j. wsi. Wieczorem pan Witold po raz pierwszy od szeregu lat zaglądnął do chaty Anzelma, który się niezmiernie jego widokiem uradował. Odwiedziła go również panna Justyna, która próbowała mleć na żarnach. Witold pouczał starego Anzelma, jak się obchodzić z drzewami w sadzie, a Anzelm, słuchając go uważnie i z zajęciem, dostrzegł w nim podobieństwo do Andrzeja Korczyńskiego. Po bliższym poznaniu nawiązała się pomiędzy nimi szczera i serdeczna przyjaźń. Między Janem a Justyną powstało coraz wyraźniej porozumienie, a w sercach budziło się obopólne uczucie.

ROZDZIAŁ II

Nazajutrz, w niedzielę popołudniu, panna Justyna i Jan Bohatyrowicz wybrali się łodzią do t. zw. Mogiły zaniemieńskiej, gdzie spoczywał snem wiecznym Andrzej Korczyński wraz ze swymi towarzyszami, powstańcami. Po drodze Jan opowiedział swojej towarzyszce przebieg potyczki, w tym miejscu stoczonej, w której zginął jego ojciec oraz

haterów padło trupem pod razami posiepaków i tylko stryj Anzelm, który doniósł tragiczną nowinę o klęsce do zaścianka i Korczyna. Czterdziestu bo-Andrzej Korczyński. Z całej partii uratował się zbirów carskich; leżą teraz cicho we wspólnym grobie. Opowiadanie Jana budzi w duszy Justyny szereg myśli i uczuć o stosunku jej do kraju ojczystego, gdzie wzrosła oraz o celu jej życia. Myślami swymi dzieli się Justyna z Janem, który w zupełności rozumie swą towarzyszkę i który wyjawia jej swe głębokie uczucie i przywiązanie, jakie do niej żywi. Ponieważ gromadzą się groźne chmury i zanosi się na burzę, młoda para opuszcza czymprędzej las i siada do łodzi. Gdy oboje znaleźli się na środku Niemna, rozszalała ulewa a Niemen pokrył się wzburzonemi falami. Justynę początkowo ogarnęło przerażenie, ale widok silnego, spokojnego i na wszystko przygotowanego Jana wlał jej otuchę w serce. Po kwadransie żeglugi oboje przybyli szczęśliwie do brzegu i udali się do zagrody Anzelma.

ROZDZIAŁ III.

W chacie Bohatyrowiczów Justyna sama rozpaliła w kuchni po czym osuszyła swoje przemoczone suknie. Następnie zawarła bliższą znajomość z dziewczętami, Elżunia, córka Fabiana zaprosiła ją jako druhnę na swoje wesele, które miało się wkrótce odbyć. Wtem z kąta przez maleńkie drzwiczki wychylił się stary Anzelm, który cały dzień przeleżał na tapczanie w swej izdebce, nic

prawie nie jedząc i nie pijąc, a który teraz dopiero, usłyszawszy Justynę, rozruszył się nieco i przyszedł ją powitać. Zaprosiwszy ją do świetlicy, kazał podać wieczerzę, a podczas jedzenia począł opowiadać o dawnych czasach, o swoim współudziale w powstaniu, o ówczesnym nastroju w dworze Korczyńskim, a na koniec o swej głębokiej i zawiedzionej miłości ku Marcie, której dotychczas zapomnieć nie może.

„Nie miałem wtenczas więcej nad lat trzydzieści — mówił — nie dziwno tedy, że kochanie tyle prawie dla mnie znaczyło, co życie i szczęście. Widać, że przeznaczonym było, aby wszystkie miody i trucizny z Korczyna na mnie ściekły, bo tam mnie objawiły się te widowiska same, po których pocieszyć się nie mogłem, i tam też gwiazda kochania mego zaświeciła. Może niejeden powie, że nadzieję nierozsądną miałem i że za wysoko odważyłem się spojrzeć, ale ja tak nie myślę. Wszak już, mało nie dwa tysiące lat temu, Pan Jezus równość po świecie ogłaszał i dużo o niej gadania w tym samym Korczynie słyszałem. Choć ta panna do pańskiej familii należała, ale ja też od niewolników rodu swego nie wiodę, a choć ubogi, żonie i dzieciom kawałek chleba dać mogłem, nie gorszy może od tego, który w te czasy niektórzy panowie jadać zaczynali, a może i spokojniejszy, pewniejszy. Do tego choć z pańskiej familii ona pochodziła, niewielka z niej była pani... niewielka! Cudze suknie na grzbiecie nosiła, wszystkiego od łaski krewnych wyglądała. Czemużby jej, zdaje się, własnego domu, choć niskiego i własnej woli, przy mężu kochanym i kochającym, nie chcieć? Wzajemność zaś,

wiedziałem, że mam... wiedziałem. Nie na ślepego przecież patrzyła ona swymi cudnymi oczyma i nie głuchemu takie rzeczy nie jeden raz mówiła, które o wzajemności upewniają. Nie chciała. Nie można nawet powiedzieć, aby jej familia wielkie przeszkody stawiała. Wiem, że były tam ze strony krewnych perswazje i pośmiewiska, ale od ołtarza niktby gwałtem jej nie odciągał. Sama nie chciała. I widzieć się ze mną nie chciała, aż ją raz w ogrodzie dopilnowałem i za rękę chwyciwszy, o przyczyny tego dekretu, który na mnie wydawała, zapytałem. Powiedziała przyczyny takie, że tylko na nie plunąć było warto. Perswadować chciałem i przekonywać, ale wyrwała mi się i uciekła... I sama desperowała, a jednakowoż nie chciała... Taka mnie ogarnęła zwątpliwość, że wszystko, na co tylko spojrzałem, okazywało mi się w postaci znikomej mary. Dziś jest, myślałem sobie, a jutro rozwieje się i zniknie. Posłyszałem raz, jak ksiądz w kościele mówił: „Z ziemiśmy poszli i w ziemię przemienić się mamy“ — i te słowa nigdy już z głowy mojej nie wychodziły. Gorzej od wszystkiego zwątpiałość ta mnie gniotła, bo żadnej już chęci i żadnego zamiaru do serca nie dopuszczała. Kiedy jeszcze cokolwiek robiłem, to tylko o tym biednym sierotce myśląc, żeby przy mnie z głodu nie zdechł; a dla siebie, tobym już i palcem nie kiwnął, bo ciągle mi na myśli stało: „Naco? dla jakiej przyczyny?“ Przed Bogiem się upokarzałem, ale już tylko o zlitowanie dla nieśmiertelnej duszy swej prosząc; o to zaś, co mnie w tym życiu spotka, bynajmniej nie dbałem, pewien będąc, że wszystko na zawsze utraciłem, a gdybym znów nabył, zarazbym znów

utracił... Czasami dźwignę się już z myśli ponurych i samego siebie nauczam: „Siły do kupy ściśnij, na biedę oczy zmróż i rzuć ją pod nogi, a pocieszenia sobie jakiego szukaj, ażeby woli Boskiej nie sprzeciwiać się i marnie nie ginąć“. Zdaje się, że już i wyperswaduję sobie, desperację odpędzę i dzień, drugi, jak wszyscy ludzie przeżyję. Nie, do życia ochota nie bierze, i choć tak pracuję, że aż cały oblewam się potem, czasem o miłych nadziejach utraconych i o marności wszystkiego myślę. Raz już nawet zaswatałem się do panny jednej i sam pojechałem do niej. Jadąc, myślałem: „Ożenię się i kwita! Chatę zaludnię, rozweselę się i odżyję“. Ale kiedym przyjechał i na pannę spojrzał: nie! Szpetna ona nie była, ani głupia, i to mi też tajnym nie było, że miłym okiem na mnie patrzyła. Nie i nie! Tamta przed oczyma stoi, a przy tym, do czego inszego już uzwyczajony, co inszego poznawszy i pojąwszy, ani w jej mowie, ani w obchodzeniu się, ani w zamiarach, które objawiała, smaku żadnego znaleźć nie mogłem. „Durzyłem się“ tak z samym sobą, jak pływacz z wodą, lat może ze trzy, a smętek zdrowia ubierał i czarne myśli siłę zjadały, aż bezsilny i z jakimiś dziwnymi, przechodzącymi i znów pouczającymi boleściami, na łoże padłem, dziewięć lat po tym przez tę chorobę gnieciony, której doktorowie rady dać nie mogli i hipochondrią ją nazwali... U Boga i ubity, kiedy każe, drugi raz użyć może. I ja też wskrzesłem, choć nie zupełnie... Mnie zdaje się, że u ludzi wiele czujących i raz nadmiar zasmęconych, nietylko na ciele, ale i na duszy robią się takie zmarszczki, które już nigdy całkiem nie znikną. Tak i ja do tej

pory nie mogę już ze wszystkim do zwyczajnego życia powrócić...“

Opowiadanie Anzelma zasmuciło głęboko wszystkich obecnych. Gdy kończył, wszedł stary Jakub, prowadzony przez wnuczkę, Jadwiśkę Domuntównę, szukając swego Pacenki. Anzelm wnet uspokoił Jakuba, ale Domuntówna nie bawiła z nim długo u Bohatyrowiczów, gdyż widok Justyny napawał ją tylko wielką zazdrością. Po wyjściu Domuntówny stary Anzelm wraz z Janem i Justyną udał się nad Niemen, gdzie przypatrywali się pracy rybaków, łowiących jacicą, która jest doskonałą przynętą na ryby. Połów ten odbył się przy świetle pochodni. Na jednym z czółen, które ślicznie odbijało w świetle owych nawodnych ogni, pojawił się Witold Korczyński. Późno w nocy wróciła Justyna do domu, gdzie właśnie Teresa czytała pani Korczyńskiej pamiętniki z czasów Ludwika XIV, a pan Benedykt pracował przy biurku nad rachunkami gospodarskimi. Justyna miała wspólny pokój z Martą która opowiedziała jej o wizycie Kirłowej, o jej usilnych zabiegach około małżeństwa Różyca oraz o matrymonialnych zamiarach tego ostatniego. Nagle Justyna zadała starej pannie wprost pytanie, dlaczego nie poszła za mąż za Anzelma? Pytanie to obudziło wiele wspomnień w sercu starej panny i dało podnietę do długiej spowiedzi.

— „Pewno myślisz — zaczęła opowiadać — że o czymś ciekawym posłyszysz? Jakaś osobliwa historia; przymus, przeszkody, awantury, tragedie! Otóż mylisz się. Niczego osobliwego, romansowego, jak na teatrze odegranego nie było. Była to sobie rzecz ordynarna, prozaiczna, taka, co wszę-

dzie rośnie, i tam nawet, gdzie jej nie posieją. Było to wieczne głupstwo, moje własne głupstwo... Dwie były przyczyny: raz, że królewna okrutnie bała się ludzkiego śmiechu; powtóre, że bardzo też lękała się ciężkiej pracy. Ot, i wszystko. Zabraniać nie zabraniali, bo nikt też i prawa do tego nie miał. Sierotą byłam i dwadzieścia kilka lat miałam. Ale wyśmiewali, żartowali, kpili! Dopóki na świecie gotowało się jak w garnku i ludzie z pozapalanymi na karkach głowami chodzili, dopóty o równości mowa była; obejmowali się, ściskali, bratali, pan chłopa w karecie swojej woził i pięknie prosił: „Kochaj ty mnie choć troszkę i nazywaj po imieniu: Wasylku, czy tam Jurasiu albo Anzelmku!“ Ale kiedy pożar zgasł, na zgliszczach znowu pokazały się góry i doliny, jak dawniej, jak dawniej... góry i doliny! „A ty, Wasylku, albo Anzelmku, nie waż się z doliny na góry wchodzić! A ty, królewno, jeżeli z góry na dolinę zstąpisz, to my cię bić, ani prześladować nie będziemy, bo za rozumni jesteśmy na to i za delikatni, ale wyśmiejemy cię, tak wyśmiejemy, że aż kolki nas w bokach zeprą!“ I każdy, kto tylko o tym konkurencie posłyszał, aż kładł się od śmiechu. Ten błazen Kirło mawiał: „On sam gnój na pole wywozi i pewno od tego bardzo śmierdzi!“ A ja, wiesz? jak w ogniu, paliłam się we wstydzie. Bywało tak, że nocami płaczę z tęsknoty po nim i z wyobrażenia, jakbym z nim szczęśliwa była, jak bóbr płaczę; a w dzień, przed krewnymi i znajomymi, słowo honoru! zapieram się jego, jak Piotr Chrystusa, i... wiesz? wieczna podłość! sama, sama z takiego konkurenta śmieję się, więcej jeszcze, a oni myślą, że to od śmiechu. Jeden Benedykt nie

niż oni. Czasem łzy gradem spadają mi po twarzy, wyśmiewał, bo mu i nie do śmiechu wtedy było, i może nie tak prędko jak inni zapomniał o tym, że brat jego, którego tak wyśmiewai, do jednej mogiły położył się z jego bratem. Ale on znów z innej beczki zaczynał. Perswadował: „Praca ciężka. Będziesz musiała sama pleć, żąć, krowy doić, gotować, prać...“ całą litanię wypowiadał tego wszystkiego, co ja robić będę musiała. „Nie wytrzymasz, zdrowie stracisz, zgrubiejesz, schłopiejesz!“ To mnie najwięcej odstręczyło, jeszcze więcej, niż drwiny i wyśmiewania. W samej rzeczy, jakimże sposobem ja miałabym pleć, żąć, krowy doić, prać? Zamęczę się, pewno zamęczę się, nie wytrzymam, przytym i schłopieję! Skąd to moje królestwo pochodziło? Diabli chyba o tym wiedzą, bo nic nie miałam, w dziurawych trzewikach czasem chodziłam; edukację jakąś tam dano, ale bardzo, bardzo nieosobliwą, a pracowałam w Korczynie od najmłodszych lat, zawsze, i nie żart, bo całym domem, folwarkiem, ogrodem zarządzałam, szyjąc przy tym ubranie dla siebie i dla innych, dla siebie to tylko, które w prezentach od krewnych dostawałam. Ale z obywatelskiej familii pochodziłam, krewni moi majątki mieli... Więc tedy i królewna... Naprawdę, takiej pracy, jakąbym tam miała, przelękłam się... Co tam! zapomnę, odtęsknię się, odżałuję! A Darzecka trzepała: „Zdarzy ci się pewno ktoś inny, stosowniejszy, ja cię sama wyswatam!“ — Nie zdarzył się, nie wyswatała, bo prędko zaczęła swoje córki swatać, a czy ja odżałowałam i zapomniałam, o tym już tylko mnie i Panu Bogu wiadomo. Dość, że za chłopa nie wyszłam, nie żęłam, nie peł-

łam i krów nie doiłam... bo co się tyczy gotowania i prania, to zdarzało się, zdarzało... Korczyn z wielkiego zrobił się małym królestwem, i wypadało w nim nieraz ręce namozolić... Ale nie żęłam i nie pełłam... a to wiele znaczy... dla tego wyrzec się wiele warto... to już za wszystko wynagradza, i za kochanie, i za dach własny, i za te dzieciaki, któreby może pieszczotami życie słodziły, i za to, że człowiek, nim postarzał, do cholery podobnym się zrobił — za wszystko wynagradza... Za wszystko nagrodę sobie znajduję w tym, że nie żęłam, nie pełłam i nie schłopiałam... To też kontentna jestem, bardzo kontentna i całe życie w wielkim ukontentowaniu przebyłam... A przy tym sława i honor mnie się należy... wieczny honor!“

Już świt różowił niebo, gdy panna Justyna, umęczona przeżytymi wrażeniami dnia, w głęboki sen zapadła.

ROZDZIAŁ IV.

Wielką panią — jak nazywał ją Anzelm Bohatyrowicz — Andrzejowa Korczyńska nie była; ale gdy młodziutka, piękna i posażna, przed trzydziestu kilku laty jednego z trzech braci Korczyńskich zaślubiała, powszechnie utrzymywano, że do małżeństwa tego tylko miłość słaniać ją mogła. Starających się o jej serce, rękę i majątek było wielu; wybrała z pomiędzy nich najmniej bogatego i noszącego nazwisko najskromniejsze. Kochała, z ukochanym łączyła się w uczuciach i dążeniach, które młodość jego napełniły, a wkrótce przedwcze-

śnie życie przecięły. Milionów mu w posagu nie wniosła, ale majątek, znacznie wartością przewyższający ten, który on posiadał, a stanowiący dziedzictwo piękne, do niej, jako jedynaczki, wyłącznie należące. Osowce (podług ówczesnego rachunku) posiadały około stu chat, ziemi wiele, lasy piękne, dwór z pretensjonalną nieco wspaniałością zbudowany. Odrazu poznać było można, że wzniósł go szlachcic, z panami w zawody wstępujący. W tym domu, czy w tym pałacu, pani Andrzejowa urodziła się, wzrosła i spędziła całe życie, z wyjątkiem ośmiu lat, które jej u boku męża i w jego domu upłynęły. U początku tych lat wyjechała stąd oblubienicą młodą i szczęściem promieniującą; u końca ich wróciła wdową, w czarnych szatach, których już nigdy zdjąć nie miała. Nie była płochą, zalotną, do zbytku wesołą; w pierwszej nawet młodości i najszczęśliwszych chwilach wyniosła jej postać zachowywała coś z ciszy i powagi, znamionujących głębokość i powściągliwość uczuć, a w samym rozpromienieniu, z jakim od ślubnego ołtarza odchodziła, czuć było skupienie się, rozmyślanie, wewnętrzną modlitwę, przebłyski natury uosobionej do surowości względem siebie, a może i do mistycyzmu. Ktokolwiek jednak znał ją w owej porze życia, pamiętał, że cera jej twarzy przypominała kwitnące róże, a układ i mowa, jakkolwiek poważniejsze i powściągliwsze niż powszechnie u kobiet jej wieku i położenia bywało, posiadały wiele uprzejmości i wdzięku, świadcząc zarazem o zdolności do szlachetnych uniesień i zapałów. Za mąż powtórnie, chociaż trafiały się jej świetne partie, nie wyszła, czcząc z pietyzmem pamięć bohaterskiego męża.

Uważała się wyższą nad zwykły poziom i przekonana była mocno, iż w synu jej objawić się musi z czasem jakaś zdolność, wynosząca go nad szary tłum. Wiele on zdrowia, pieniędzy i kłopotów kosztował panią Andrzejową. Widziała w nim całe swoje szczęście, całą swą nadzieję i wierzyła w jego zdolności malarskie, jakie od dwunastego roku życia zdradzał. Całe jego wychowanie skierowała w tę stronę! Istotnie jeden z obrazów Zygmunta został odznaczony na wystawie, co dumą i radością napełniło serce matki. Po tym jednak opuściło natchnienie młodego i utalentowanego artystę, który siedział bezczynnie w Osowcu. Ten zawód bolał matkę, a jeszcze w większym stopniu stosunek syna do żony, Klotyldy. Pewnego razu pani Andrzejowa widziała przez otwarte okno Zygmunta idącego ścieżką ogrodową w towarzystwie żony oraz z teczką malarską pod pachą; po chwili zauważyła, że Klotylda z płaczem odeń odeszła i smutna wróciła do swego pokoju. Pamiętała wprawdzie pani Andrzejowa, iż Zygmunt przed kilku laty kochał się w Justynie, pamiętała również, że niedawno musiała odprawić jedną z pokojówek, gdyż nazbyt podobała się, niby to jako model, rozkapryszonemu jedynakowi, ale nie przypuszczała ani na chwilę, by młoda i piękna żona jego miała mu się już po dwóch latach uprzykrzyć lub dawna miłość odżyć. Tymczasem Zygmunt wróciwszy po dłuższej nieobecności do kraju, spotkał Justynę, swoją pierwszą miłość i dawne uczucie w nim odżyło. Napróżno jednak starał się nawiązać dawne nici: Justyna odnosiła się doń zimno i obojętnie. Gdy się dowiedział, że Różyc stara się poważnie i na serio o rękę

Justyny, doznał wstrząśnienia. Kazał natychmiast zaprzęgać i pomimo gorących próśb żony, by pozostał w domu, pojechał do Korczyna. Biedna Klotylda z płaczem wpadła do pokoju swej teściowej i doniosła jej o tym smutnym fakcie, który był dla serca matki bolesnym ciosem. Odtąd pani Andrzejowa naprawdę zaczęła się rozczarowywać co do wartości swego rozkapryszonego jedynaka.

ROZDZIAŁ V.

Lipiec się zbliżał ku końcowi. Panna Justyna nauczyła się już żąć i znalazła wreszcie odpowiedź na różne trapiące ją pytania: nie będzie już niczym, nie będzio marnym prochem zanim się w proch obróci; będzie pożyteczną, a może nawet komuś niezbędnie potrzebną. Zażyłość jej z zaścianikiem wzmogła się. Postępowanie panny Justyny podobało się Witołdowi Korczyńskiemu, który, jako szczery demokrata, nigdy nie stronił od mieszkańców zaścianka. Lecz idee demokratyczne dawno już wywietrzały z głowy jego ojca, dlatego też między starym a młodym nieraz przychodziło do nieporozumień i sprzeczek. Waśni te z biegiem czasu wytworzyły między nimi nizgłębiony przedział. — Wieczorem, po zachodzie słońca zaprosiła Elżunia (córka Fabiana) Justynę do siebie na miód, a przy tej sposobności przedstawiła jej swego narzeczonego, Franciszka Jaśmonta. Nieco później przyszedł też do chaty Fabianów Witołd Korczyński i wszyscy bawili się znakomicie. Brakło tylko Jana, którego nieobecność dotkliwie odczuwała Justyna.

Dowiedziała się ona, że Jan pojechał daleko po siano i miał wrócić dopiero następnego dnia. Kiedy nazajutrz Witołd udał się do matki z prośbą, by pozwoliła Leonce udać się na wesele Elżusi (Justyna miała brać udział w tym weselu jako druhna), matka odmówiła stanowczo, a dostała ataku histerycznego na myśl, że jej córka mogłaby się znaleźć w tak nieodpowiednim dla siebie towarzystwie. Do ataku nerwowego przyłączyły się kurcze żołądkowe i zdawało się, że trzeba będzie zawezwać doktora, ale na szczęście obeszło się bez niego i biedna kobieta, uspokoiwszy się nieco, zasnęła na chwilę. Pan Benedykt również nie pochwalił pomysłu syna co stało się bezpośrednią przyczyną scysji słownej ze synem. Witołd odtąd postanowił sobie, że nie będzie nigdy z ojcem dyskutował o swoich przekonaniach, tylko o rzeczach potocznych. Ojciec spostrzegł to i ten cichy upór jątrzył go coraz bardziej.

Pewnego dnia, wkrótce po żniwach, pan Benedykt, wbrew swemu zwyczajowi, zdradzał wielki humor i niezwykłe ożywienie. Przyczyną tych pomyślnych objawów było to, że wygrał proces z Bohatyrowiczami i że sąd przyznał mu dość znaczną sumę jako odszkodowanie. Stary szlachcic obiecywał sobie, że te sumę musi z „okolicy“ (zaścianka) wydobyć, choćby miał przeciwników zlicytować. Właśnie w tym momencie przybył do Korczyna pięknym koczykiem pan Zygmunt z wizytą. Nie na rękę była mu radość pana Benedykta, gdyż paliła go chęć widzenia się z Justyną. To też skorzystał z tego, że pan Benedykt opuścił go niebawem celem napisania listu do swego prawnika w spra-

wie wygranego procesu i podążył czympredzej do pokoiku Justyny. Ta przyjeła go jednak bardzo chłodno. Lecz kiedy jej zaczął mówić o miłości, wybuchnęła żalem. Ongi kochała go bardzo goraco, ale gdy ja porzucił, kiedy zdeptał jej dume i poczucie godności kobiecej, wówczas cierpiała tak strasznie, że myślała o śmierci. Kochała go jeszcze wtedy, gdy wrócił z zagranicy żonaty, lecz po tym pomiędzy nią a nim stanęło jej sumienie, stanęły łzy, które zobaczyła w oczach jego żony. Te łzy nie pozwalaja jej na wstrętny romans, na który się przenigdy nie zgodzi. Kocha zresztą innego. Odepchnięty i rozczarowany wrócił Zygmunt do Osowiec. Miedzy nim a matką przyszło do długiej rozmowy, z której pani Andrzejowa dowiedziała się, że Zygmunt właściwie nigdy nie kochał ani Justyny ani Klotyldy. Syn wyraził jej swoią wdzięczność za to, że skierowała myśli jego ku ideałom, ku sztuce, ku rzeczom górnym, niemniej jednak, skoro w tym właśnie duchu został wychowany, nie może zamykać się w ciasnym widnokręgu wsi rodzinnej. W dalszym ciagu począł prosić matkę, by sprzedała Osowce i wraz z nim wyjechała do Rzymu, Florencji albo Monachium, gdzie on niewątpliwie w otoczeniu artystycznym odzyska natchnienie i zdolność twórcza. Lecz matka odmówiła mu z całą stanowczościa i zwróciła rozmowę na jego stosunek do żony. Zygmunt tłumaczył się, że żonę kocha, lecz ona nie dorosła do poziomu jego ducha. Co do Justyny, dziś właśnie doznał gorżkiego rozczarowania. „Zimna jest, przesądna, ograniczona, przybiera jakieś pozy bohaterki czy filozofki... Przy tym ręce ma zgrubiałe i wogóle wygląda więcej na prostą,

hożą dziewkę, niż na pannę z dobrego towarzystwa...“ Wówczas zrozpaczona pani Andrzejowa pod wpływem tego oświadczenia zrozumiała, że jej syn właściwie nic i nikogo nigdy nie kochał, ani Justyny, ani Klotyldy, ani matki. Zrozumiała też, że źle wychowała syna i że tym samym popełniła ciężki, niodkupiony błąd. Co więcej, oto syn jej nazwał szaleńcem swego ojca dlatego, że zginął za ojczyznę ! Jest raczej kosmopolitą, niż Polakiem, skoro chce porzucić na zawsze ziemię przodków i prochów jego ojca. Padła więc przed krucyfiksem ta dumna i niezłomna dotąd kobieta i zaczęła się kajać za swe winy, bo ona to głównie ręce swe przyłożyła do tego, że jej syn był taki właśnie, a nie inny.

ROZDZIAŁ VI.

Dzień był znowu świąteczny i pogodny, ale rozległa równina, z jednej strony w lesiste pagórki, z drugiej w półkoliste koryto Niemna ujęta, wcale inną miała postać, niżli w świetne, skwarne, mozolne dni ubiegłego już lata. Miała wcale już inną postać, bo było to święto wesołe i rzeźkie jeszcze, w zebrane plony bogate, lecz już niby u wrót rozpoczynającej się jesieni stojące.

Ranek był jeszcze, bo może trzech godzin do południa brakowało, gdy okolicę napełnił gwar niezwykły. Długo i nieustannie turkotały tam koła, parskały konie, rozlegały się powitalne okrzyki. Ze wszystkich dróg, przerzynających równinę, ku Fabianowej zagrodzie zjeżdżały się bryczki, cwałowali jeźdźcy, pieszo dążyli mieszkańcy bohatyrowic-

kich zagród. Na koniec kilkanaście niewyprzężonych żółtych i zielonych, jedno- i dwukonnych bryczek napełniło podwórko zagrody i kilka jeszcze koni stanęło u różnych płotów. Na kilka mil wokoło powszechnie wiedziano, że byli to „weselniki“ przez Fabiana na gody małżeńskie jego córki posproszani.

W całym tym zebraniu, na parę godzin przed południem, uczuć się dało niecierpliwe i trochę niespokojne oczekiwanie. Państwo młodzi i asysta weselna, jako to: dwaj swatowie, dwie swatki i sześć par drużbów, nie ukazywali się wcale przybyłym gościom, z których bardzo nieliczni tylko wchodzili do domu, a prawie wszyscy przechadzali się po ogrodzie i drodze, albo siadali na długich ławach, tu i ówdzie ustawionych, na stosie desek pod stodołą, na kamieniach, na niskich płotkach. Wiedziano dobrze, że panna młoda już jest do ślubu ubrana i że pora już była wielka wyruszyć w drogę do kościoła, lecz brakło jeszcze jednej z najważniejszych osób asysty, mianowicie: pierwszego „drużbanta“, Kazimierza Jaśmonta.

Wtem na zielonej uliczce, od bramy ku domowi wiodącej, coś rączego, gromkiego, świetnego zaturkotało, zaparskało i pod gankiem domu stanęło. Pierwszy drużbant przyjechał. Przyjechał bryczką i jednym koniem, ale jaką bryczką i jakim koniem! Pierwsza świeciła nowiutkimi okuciami i najpiękniejszą majową barwą; drugi czarny ogier (weselnicy między sobą szeptali, że ze trzysta rubli możnaby było za niego zapłacić, i że pochodził z własnego chowu właściciela), kark miał wygięty i sierść aksamitną. Prawie galopem jadąc, bo sam

zapewne czuł, że się spóźnił, Kazimierz Jaśmont w jednej ręce trzymał rzemienne lejce, drugą nieustannie zdejmował z głowy granatową czapeczkę, tym sposobem wszystkich znajomych witając, a gdy to czynił, oprócz okuć bryczki i aksamitnej sierści konia, błyskały jeszcze pod słońcem jego złociste, kędzierzawe, wtył od szerokiego czoła odrzucone włosy. Jednemu z młodszych synów Fabiana wodze oddał, a sam do wnętrza domu wpadł, gdzie kilka minut zaledwie zabawił, poczem znowu na ganek wpadając, gromko huknął: „Muzyka“. Na ten okrzyk z tłumu wypadli trzej młodzi, szeroko naokół znani bracia Zaniewscy, którzy sztukę muzyczną gorliwie uprawiając, na weselach sąsiedzkich bezinteresownie i tylko dla własnego ukontentowania, a grzecznego sąsiadom usłużenia, do tańca grywali. Od dwu już godzin o ścianę stały oparte dwoje skrzypiec i basetla. Amatorowie-muzykanci porwali je i z nimi do domu wbiegli. Ku domowi też pocisnęli się weselnicy wszyscy, jedni do wnętrza jego wchodząc, inni otwarte drzwi i okna tłumnie obstępując. Gdy świeżo przybyły „drużbant“ wygłosił odpowiednią orację i gdy rodzice pobłogosławili państwo młodych, orszak weselny udał się do pobliskiego kościoła. Nie wszyscy jednak podążyli do świątyni, gdyż starsi pozostali w chacie Fabiana i gwarzyli z cicha o przegranym z panem Korczyńskim procesie i o skutkach tego smutnego dla zaścianka faktu. Po powrocie państwa młodych i orszaku weselnego, młodzież rozpoczęła ochoczo pląsy. W jakiś czas po tym przybyła na wesele Marta. Anzelm ją spostrzegł, zauważyła go także i kilka szerokich kroków uczyniwszy, sta-

nęła. W czarnej spódnicy i mantyli, z liliową kokardą u szyi, trochę przygarbiona, jak ciężki słup, z podaną naprzód małą, żółtą, pomarszczoną twarzą, przed nim stanęła. Rozswawolona gromadka, z panią młodą na czele, dokazawszy swego, pierzchnęła w różne strony; oni zaś przez całą minutę na siebio patrzyli. Anzelm, zwolna czapkę nad głową podnosząc, przyciszonym i bardzo zająkliwym głosem mówić zaczął: — „Kopa lat... ko... ko... pa... lat...“. A ona także zaczęła: — „Góra z górą.. góra z górą...“ I wyciągnęła ku niemu swoją dużą, ciemną rękę, którą on powolnym ruchem ujął i w obu dłoniach zatrzymał. Znów milcząc, na siebie patrzyli; jej broda i dolna warga trząść się zaczęła, on głową zwolna kołysał. — „Dwadzieścia trzy lata... dwadzieścia trzy lata...“ — powtarzała. A on, w skupionej, jakby osłupiałej kontemplacji pogrążony, oczu z niej nie spuszczając, zaczął: — „Poranek widział kwitnącą, rumianą, a wieczór...“ Urwał, mocniej głową wstrząsnął, kędyś w bok spojrrzał. Ona zarumieniła się tak, jak to w czasie poranku bywać musiało, lecz nagle, jakby otrzoźwiawszy się, zaśmiała się: „A pan Anzelm! może myśli że nie postarzał? Oj, oj, wieczny śmiech Nie my jedne starzejemy ...“ Wyrwał się z toni wspomnień, w którą go pogrążył widok tej kobiety rękę jej ze swoich rąk wypuścił i z uśmiechem zażartował: „Słusznie! A jakże! starość grubianka, nikogo nie zdobi...“ Nie zauważyli, że obstąpiło ich kilka starych bohatyrowickich gospodarzy, którzy Martę niegdyś znali i ku niej szli z powitaniem. Każdy jej przypomniał, jak niegdyś ją w Korczynie widywał; jeden nad długością ubiegłe-

go czasu zastanawiał się, drugi chciał wiedzieć, czy pamięta brata jego, który podówczas kędyś daleko i na zawsze z okolicy wywędrował, trzeci najstarszy, zcicha coś prawił o swoim synu, o panu Andrzeju Korczyńskim i ruchami głowy na zaniemeński bór ukazywał. Ona wszystkim ściskała ręce, wszystko pamiętała i razem ze wszystkimi głową trzęsła, powtarzając: — „Stare czasy! stare czasy!“ Tymczasem przybyła na wesele uproszona przez swych stryjecznych braci Jadwiga Domuntówna, której towarzyszył nawpół obłąkany ojciec. Widoczna już miłość Jana do Justyny obudziły straszną zazdrość w sercu Jadwigi, która uważała młodego Bohatyrowicza jakby za swego narzeczonego. Gdy dwoje młodych stanęło na chwilę na uboczu, Jadwiga uniesiona gniewem, rzuciła w nich kamieniem, który jednak nie wyrządził im żadnej krzywdy. Z tej przyczyny powstała wielka wrzawa i zanosiło się nawet na bójkę między potępiającymi postępek Jadwigi i jej obrońcami. Lecz szlachetny Jan, obracając w żart uczynek zazdrosnej Domuntówny położył kres wszelkim sporom. Jadwiga zaraz po tym poszła do domu, zabrawszy dziadunia ze sobą. Po tym wypadku goście weselni udali się nad Niemen, gdzie poczeli śpiewać chóralne przeróżne pieśni ludowe. W tym samym czasie Marta i Anzelm, siedząc na trawie pod lipami zagrody Anzelmowej, wspominali sobie dawne czasy swej młodości, a w chacie Fabiana zebrana ostarszyzna prosiła Witołda o wstawiennictwo do ojca w sprawie przegranego przez się procesu o wygon.

ROZDZIAŁ VII.

Śpiewy weselników dochodziły z nad Niemna aż do buduaru pani Emilii i przeszkadzały jej w słuchaniu czytanej przez pannę Teresę książki o krajach i ludach podbiegunowych, w panu Benedykcie budziły echa minionej przeszłości. Czytał właśnie list od brata ze stolicy, zruszczonego już urzędnika, wydającego córkę za mąż za pułkownika, a synów kształcącego w szkołach rosyjskich, gdy wtem do gabinetu wpadł syn Witołd, blady, i wzruszony. Między ojcem a synem zaczęła się gorączkowa i burzliwa rozmowa, jedna z tych, co to prowadzą do ostatecznej zgody, albo do ostatecznego zerwania. Przedewszystkiem Witold zarzucił ojcu, że on jest główną przyczyną procesu i złego stosunku, panującego między dworem a okolicą, albowiem nigdy nie dbał o oświatę ludu, pogrążonego w ciemnocie. — „Sądzisz ojcze — wołał — że ci, których młodość gotowa istotnie w każdej chwili jaśniejszej wytrysnąć swawolą i śmiechem, nie rozglądają się przecież wokoło siebie, nie rozumieją, nie czują kurczów chłostanej dumy, nie znają litości, która w nich krzyczy: „Ratunku!“ i o ten ratunek zapytywać im każe wszystkich dróg czynu i wszystkich otchłani myśli? Kto tak mniema, niech o to zapyta naszych w poranku przekwitających twarzy, oczu od wpatrywania się w oblicze wiedzy przedwcześnie znużonych i tego, czego nikt dojrzeć nie może: tych wulkanów żalu, obrazy, nadaremnych porywów i złorzeczeń, które wrą nam w piersiach! Młody jestem! cóż stąd? Kiedy już z życia tyle wyssałem piołunowych soków, ile ich trzeba, ażeby w głowie

szumiały pytania; skąd? naco? dlaczego W takich pytaniach dusze dojrzewają prędko! Ciężko... strasznо... straszno mi tak mówić do ciebie ojcze! Rozdarty jestem pomiędzy tobą a tym, co mi nad ciebie, siebie nad wszystko droższe... Nie jam jeden taki! Co sprawiło, że pełni jesteśmy bezbrzeżnej litości nad maluczkimi mrówkami, kretami ziemi, że w ciemne i ciasne ich podziemia iść pragniemy i idziemy, choćby wśród nich oczekiwało nas całopalenie własnego ciała i serca? Co sprawiło, że nie możemy, choćby w pokładzie złota, tkwić z nieruchomością grzybów, ale pragniemy biec, ratować, pocieszać, uczyć, budzić, wkrzesać? Co to spraciło? pochód wieku, którego jesteśmy dziećmi? czy wezbrane morze myśli ludzkich. którego sami jesteśmy żeglarzami? Czy to inne morze cierpień, które, zalewając nam serca i gardła, budzi w nas jasną i wczesną świadomość powszechnego bólu świata, z bezbrzeżnym dla niego współczucia? Ale to współczucie, te święte dla nas idee, razem z krwią krążą nam w żyłach, z mózgiem myślą z sercem tętnią.... One są epopeją naszą, z nich powstają nasze tragedje... One też są naszą jedyną nadzieją! Jaką nadzieją? O! jej imienia, ty, ojcze, wspominać zabraniasz... tu nie wolno żadnego świętego imienia wspominać, bo ciągnie ono za sobą bladą marę strachu! Ten strach wieczny... ta ostrożność niewolników, których drżeniem przejmuje sam brzęk ich obroży... to zagrzebanie szlachetnej duszy w prochu bojaźni i interersu... ta obojętność dla wszystkiego, co nie żywi i nie odziewa ciała, ten brak miłości dla ziemi i ludzi...“

Pod wpływem wrastającego uniesienia nadeszła

chwila, w której Witold sięgnął po wiszącą na ścianie nabitą strzelbę, by się życia pozbawić, ale nie dał mu tego uczynić ojciec, który dopiero począł mięknąć i przystał na wszelkie żądania syna, tym bardziej, że i on poczuł w sobie powrotną falę dawnych pragnień i ideałów. — „Słuchaj — rzekł do syna — jeżeli wam się zdaje, że wy pierwsi wymyśliliście kochać i ziemię i lud i sprawiedliwość, to popełniacie błąd gruby i grzech przeciw sprawiedliwości... I w naszych ustach brzmiało niegdyś hasło poety: „Młodości! ty nad poziomy wylatuj!“ i myśmy latali na mleczne drogi i w blask jutrzenki i w ognie ofiary! Ten lud... to nasze bożyszcze... Boże wielki! tożeśmy się ku niemu jak szaleńcy rzucili, jak w słońce w niego wierzyli, jak w zbawienie zapatrzyli, na rękach prawie podnieść go usiłowaliśmy, dobro nasze i samych siebie słaliśmy przed nim... Krzywdy przez przez ojców jeszcze zrządzone, własnymi choćby ciałami pragnęliśmy unieść ze świata i z jego pamięci... A ziemia! Boże! dzieckiem, chłopięciem, młodzieńcem, ja każdą roślinkę, każdą kroplę wody, każdy jej kamień kochałem... mógłżem być wrogiem ludzi, którzy z niej powstali? To ja... ale niemało, niemało nas takich było!“

Ostatecznie między ojcem a synem doszło do zupełnego porozumienia i ucieszony Witold pospieszył do Bohatyrowiczów z radosną nowiną, że p. Benedykt nie będzie z nich ściągał kosztów procesowych. Krótko jednak teraz bawił Witold wśród rozradowanych i wiwatujących Bohatyrowiczów, gdyż spieszno mu było do ojca, który miał z nim

układać plany zagospodarowania Korczyna i który pragnął popłynąć do oddawna przez się nienawiedzanej Mogiły. Wesele u Fabiana trwało jeszcze cały dzień aż do wieczora. Przed zachodem słońca odbył się obrzęd pożegnania panny młodej, a po tym cały orszak, prowadzony przez „drużbanta" Kazimierza Jaśmonta, ruszył do domu pana młodego. Po drodze jadący spotkali czarno ubraną i pełną smutku Domuntównę; proszoną ją, by podążyła z orszakiem, ale ona stanowczo temu odmówiła; natomiast zgodziła się, by „drużbant" Jaśmont, któremu się bardzo podobała, odwiedzał ją niekiedy. Następnie udała się do chaty Jana i przeprosiła go za swój wczorajszy uczynek; zauważyła zarazem, że nie czuje doń już żadnej urazy ani żalu, bo wie, że „serce nie zna, co to pany". Po odejściu Domuntówny Jan pobiegł nad Niemen, gdzie spotkał Justynę, która mu gdzieś niedawno znikła. Oboje stanęli nad rzeką, wpatrzeni w cudownie piękny krajobraz i w blaski gasnące na niebie. Zmrok łagodnymi falami spływać zaczął od gwiazd, które stopniowo pozapalały się na ciemnym sklepieniu. Cisza panowała wielka. Wtem, wśród ciszy od dalekiego punktu okolicy doleciał przeciągły, kilka rrazy powtórzony okrzyk. Ktoś kogoś wołał. Niby w borze przyczajony duch psotny a smętny wołanie to porwał i niósł w głębi boru, powtarzając je długo przeciągle, srebrnie. Jan poprosił swej towarzyszki: — „Panno Justyno! niech pani echu powie to imię, które dla pani najmilsze jest na świecie. Proszę, proszę, na wszystko proszę zawołać tego, kto dla pani miły! Pod spadającemi na jej czoło liścmi topoli stała płonąca i tak wzruszona, że na chwilę oddech za-

trzymał się jej w piersi. Aż nad coraz więcej ciemniejącą rzeką, w coraz ciemniejszem powietrzu zabrzmiało imię: — „Janku!“ Bór przeciągle, głośno, śpiewnie trzy razy odpowiedział: — „Janku!“. Justyna na rozśpiewany bór patrzyła i czuła, że jej kibić otacza ramię niecierpliwe, a przecież nieśmiałe. Z sercem prędko bijącem próbowała jeszcze z echem rozmawiać: — „Janku!“ zawołała jeszcze. Ale echo nie odpowiedziało, tak wołanie było ciche i tak prędko na jej ustach stłumił je pocałunek. Powoli, uwalniając się z jego objęcia, twarzą w twarz przed nim stanęła, obie dłonie położyła mu na ramionach i dobrowolnie, z dreszczem szczęścia, z rozkoszą ufności bez granic, głowę na jego pierś pochyliła. — „Królowo moja! najdroższa! jedyna! czy moja ty? czy moja? moja? — „Na zawsze!“ — odpowiedziała. Nad dalekim zakrętem Niemna jakby z wody wypłynął ognisty sierp wchodzącego księżyca, prędko powiększał się, zaokrąglał, podnosił, aż nad rzeką zawisł ogromną, pałającą tarczą. Gwiazdy gasły, świat tonął w ciszy i rozwidniał się łagodną, marzącą świtłością. Pod srebrną topolą szeptały szepty tak ciche, że nie słyszał ich nawet człowiek, który w grubej kapocie i wielkiej kosmatej czapce, u szczytu góry, pod rzędem lip nieruchomych siedział, z głową opartą na ręku i twarzą ku księżycowi obróconą.

ROZDZIAŁ VIII.

Na drugi dzień Korczyn odwiedził cały szereg gości. Najpierw przybył Zygmunt Korczyński, któ-

ry serdecznie prosił p. Benedykta, aby namówił jego matkę do sprzedaży Osowiec, lecz spotkał się ze stanowczą odmową. Pan Benedykt absolutnie nie chciał pośredniczyć w tej tak drażliwej dla niego sprawie. Wkrótce potem przybył zapromieniony Kirło, zapowiadając rychłe przybycie Różyca z oświdczynami o rękę panny Justyny. Tuż nemal za Kirłą prostą bryczką przyjechała jogo żona z tą samą co i mąż nowiną, a zarazem oficjalny jej zwiastun. Sam Różyc miał się zjawić i prosić osobiście Justynę o rękę tylko w tym wypadku, gdyby uprzednio ona wyraziła zgodę na dozgonny związek z nim. Osobiście nie może się oświadczyć, gdyż się obawia, że ten krok go zanadto wzruszy i zdenerwuje. Pani Kirłowa wyznaje otwarcie, że młodość jej kuzyna była swawolna i że, nestety, jest on nałogowym morfinistą. Wszyscy, zwłaszcza p. Emiia oraz jej nieodstępna towarzyszka, panna Teresa, widzą bajeczną dla Justyny karierę w związku z Różycem, gdy tymczasem ona wśród powszechnego zdumienia śmiało oświadczyła, iż nie odda mu swej ręki, gdyż jest już zaręczona z Janem Bohatyrowiczem. Pani Emilia na te słowa zemdlała, a Kirło otworzywszy usta, znieruchomiał z osłupienia; w głowie jego bez przerwy krążyła myśl: „Teoś harbuza dostał!“ Justyna oświadczyła ponadto, że pracy, która ją czeka pod dachem Jana Bohatyrowicza, nie lęka się wcale owszem, przeciwnie, brak pracy był jej oddawna trucizną i wstydem. Nierówność umysłów jest tylko pozorna, a zresztą, gdyby ona stała wyżej umysłowo od swego przyszłego męża, to z radością prawdziwą wniesie światło w jego dom. Wtem wszedł do pokoju Witold, który dowiedziawszy się o decy-

zji Justyny, począł ją całować po rękach za ten, jego zdaniem, godny najwyższej pochwały ,krok. Podzielał tę radość syna poniekąd także i pan Benedykt, który nie widział szczęścia Justyny w związku ze zblazowanym i morfinizującym się degeneratem. Nawet Kirłowa uznała powody Justyny i zwróciła się do niej z prośbą, aby przyjęła jej Rózię do swej chaty i nauczyła ją pracować. Po odjeździe pani Kirłowej Justyna udała się do ojca, by zawiadomić, że poślubi niebawem Jana Bohatyrowicza. Marta również dowiedziała się o decyzji młodej panny, więc uparła się, by p. Benedykt pozwolił jej opuścić swe gospodarstwo, gdyż ona pragnie przenieść się do chaty nowożeńców i tam im w pracy pomagać. Pan Benedykt długo jej perswadował, że w Korczynie ona jest nieodzowna, więc ostatecznie Marta zgodziła się nadal u niego pozostać. Ojciec Justyny protestował z początku przeciw jej małżeństwu, głównie z obawy by nie był zmuszony przenieść się do chaty Bohatyrowiczów, gdzieby zapewne nawet miejsca na fortepian nie było, ale wkońcu pod wpływwm pana Benedykta, który nadal mu pozwolił pozostać u siebie, zgodził się na postanowienie córki, po czym odszedł na czekające nań smaczne śniadanie. Wieczorem pan Benedykt wraz z Justyną udał się do chaty Anzelma, by bliżej poznać Jana. Obaj Bohatyrowicze przyjęli go ze szczerą radością i serdecznością.

KONIEC.

59	Fredro A.: Śluby panieńskie	Z. Zaturski	0.45
43	— Zemsta	Z. Zaturski	0.30
65	Goszczyński S.: Król zamczysk	L. Sternklar	0.30
55	— Zamek kaniowski	Z. Zaturski	0.30
46	Homer: Iliada	Z Zaturski	0.60
68	— Odyssea	L. Sternklar	0.60
58	Korzeniowski J.: Kollokacja	Z. Zaturski	0.45
47	— Spekulant	Z Zaturski	0.45
61	Krasicki I.: Przypadki Doświadczyńskiego	A. Sulima	0.30
3	Krasiński Z.: Irydjon	Z Zaturski	0.45
6	— Nieboska komedja	Z. Zaturski	0.45
53	— Przedświt	Z. Zaturski	0.30
54	— Psalmy przyszłości	Z. Zaturski	0.30
20	Kraszewski J. I.: Chata za wsią	K. Borkiewicz	0.30
70	— Powrót do gniazda	K. Borkiewicz	0.60
21	— Stara baśń	Z. Zaturski	0.45
30	Malczewski A.: Maria	A. Sulima	0.30
28	Mickiewicz A.: Ballady i romanse	Z. Zaturski	0.30
27	Dziady I. II. i IV.	Z. Zaturski	0.60
1	— Dziady III.	A. Sulima	0.45
50	— Grażyna	J. Stur	0.45
48	— Konrad Wallenrod	A. Stodor	0.60
57	— Księgi narodu i pielgrzymstwa	Z. Zaturski	0.30
63	— Pan Tadeusz ks. I—VI.	B. Nowiński	0.60
64	— Pan Tadeusz ks. VI—XI.	B. Nowiński	0.60
39	— Sonety	Z. Zaturski	0.60
42	Niemcewicz J.: Powrót posła	Z. Zaturski	0.30
69	Orzeszkowa E.: Meier Ezofowicz	L. Sternklar	0.60
36	— Nad Niemnem	Z. Zaturski	0.60
34	Pasek J. Ch.: Pamiętniki	Z. Zaturski	0.60
49	Prus B.: Anielka	Z. Zaturski	0.30
41	Emancypantki	Z. Zaturski	0.60
29	Faraon	Z. Zaturski	0.60
26	Lalka	Z. Zaturski	0.60
11	Placówka	Z. Zaturski	0.30
4	Reymont Wł.: Chłopi	Z. Zaturski	0.60
71	— Ziemia obiecana	K. Borkiewicz	0.40
22	Rzewuski H.: Listopad	Z. Zaturski	0.60
31	Sienkiewicz H.: Krzyżacy	Z. Zaturski	0.60
8	— Ogniem i mieczem	Z. Zaturski	0.60
32	— Quo Vadis	Z. Zaturski	0.60

10	— Pan Wołodyjowski	Z. Zaturski	0.60
9	— Potop	Z. Zaturski	0.60
19	— Rodzina Połanieckich	Z. Zaturski	0.60
5	— W pustyni i puszczy	Z. Zaturski	0.45
5	Słowacki J.: Anhelli	Z. Zaturski	0.30
12	— Balladyna	Z. Zaturski	0.30
53	— Beniowski	Z. Zaturski	0.60
2	— Kordjan	A. Sulima	0.30
58	— Król duch	Z. Zaturski	0.60
37	— Lilla Weneda	Z. Zaturski	0.45
52	— Jan Bielecki	L. Sternklar	0 [illegible]
67	Sofokles: Antygona	Z. Zaturski	0.30
56	Szekspir: Hamlet	Z. Zaturski	0.45
45	— Makbet	Z. Zaturski	0.30
25	Wyspiański S.: Wesele	Z. Zaturski	0.30
24	Zabłocki F: Fircyk w zalotach	Z. Zaturski	0.30
62	— Sarmatyzm	K. Borkiewicz	0.30
60	Żeromski S.: 10 powieści	K. Borkiewicz	0.50
23	— Ludzie bezdomni	Z. Zaturski	0.60
7	— Popioły	Z. Zaturski	0.60
35	— Syzyfowe prace	Z. Zaturski	0.60
40	— Wierna rzeka	Z. Zaturski	0.45

CHARAKTERYSTYKI LITERACKIE:

Adam Mickiewicz opr. prof. A. Mazanowski	1.20
Juljusz Słowacki opr. prof. A. Mazanowski	1.20
Stefan Żeromski opr. prof. K. Borkiewicz	1.20
Wł. St. Reymont opr. prof. K. Borkiewicz	1.20
Bolesław Prus opr. prof. K. Borkiewicz	1.20
H. Sienkiewicz opr. prof. K. Borkiewicz	1.20
Eliza Orzeszkowa i Marja Konopnicka	1.20

WYPRACOWANIA TEMATÓW Z LIT. POLSKIEJ:

Literatura przedrozbiorowa	1.20
Literatura romantyczna	1.60
Literatura poromantyczna	1.20
30 tematów dodatkowych z całej literatury polskiej	1.20
Polska literatura poromantyczna opr. prof. Z. Zaturski część I. okres pozytywizmu	1.20

HISTORJA:

Wybor wolnych tematów z historii i życia współ. opr. dr. J. Szarski	1.20
Nowa Konstytucja Rzplitej Polskiej z komentarzem	0.75
E. Rydz-Śmigły i jego boje opr. dr. J. Schall	0.30
Polska a Bałtyk (7 wypracowań) opr. L. Sternklar	0.50
Józef Piłsudski· Życiorys i zbiór wypracowań opracował S. T. Rayski	0.50